

LoGoS 2 (12) 2026



W
O
B
E
C

Z
Ł
A

WPROWADZENIE DO NUMERU

Oddajemy w ręce Czytelników dwunasty numer **LOGOSU**. Jest to numer szczególny nie tylko dlatego, że podejmuje jeden z najtrudniejszych tematów, z jakimi mierzy się człowiek, ale również dlatego, że zamyka kolejny (drugi) rok pracy naszego szkolnego pisma. Przed nami wakacje, czas odpoczynku, podróży i nabierania sił. Zanim jednak rozjedziemy się w różne strony, chcielibyśmy zaprosić Was do refleksji nad zagadnieniem, które od wieków nie przestaje fascynować filozofów, pisarzy, artystów i zwykłych ludzi. Tym zagadnieniem jest zło.

Temat numeru nie pojawił się przypadkowo. Stanowi on nawiązanie do sesji filmowej „Ciemności kryją ziemię”, która odbyła się zimą w Waplewie. Mamy nadzieję, że teksty zgromadzone w tym numerze w jakiejś mierze są kontynuacją tam rozpoczętej rozmowy i określają znaczenie stawianych tam pytań.

Czym właściwie jest zło? Czy można wskazać jego źródło? Czy rodzi się ono w człowieku, czy raczej w społeczeństwach, ideologiach i systemach, które człowiek tworzy? Dlaczego jedni ludzie potrafią zachować człowieczeństwo nawet w najtrudniejszych warunkach, podczas gdy inni stają się sprawcami cierpienia? Czy zło jest czymś wyjątkowym, czy też stanowi nieodłączny element ludzkiego doświadczenia? Są to pytania stare jak sama cywilizacja, a jednak każda epoka musi zadawać je na nowo.

Przygotowując ten numer, szybko przekonaliśmy się, że nie istnieje jedna odpowiedź. Dlatego postanowiliśmy spojrzeć na problem z wielu różnych stron. Znajdziecie tu teksty filozoficzne, literackie, publicystyczne oraz – jak zawsze – rozmowy przeprowadzone przez nas z rodzicami i nauczycielami. Wszystkie one pokazują, że zło nie jest jedynie abstrakcyjnym pojęciem z podręczników filozofii czy historii. Dotyka ono naszego codziennego życia, naszych wyborów, relacji i sposobu patrzenia na innych ludzi.

Ważne miejsce zajmują w numerze rozważania filozoficzne. Powraca w nich pytanie o sens cierpienia i obecność zła w świecie. Czy można pogodzić istnienie dobra z faktem, że człowiek doświadcza przemocy, chorób i niesprawiedliwości? Warto wskazać między innymi na postać Leibniza, który próbował znaleźć odpowiedź na ten odwieczny problem i jego słynną teodyceę, oraz jego adwersarza – Woltera, który z właściwą sobie ironią podważał zbyt łatwe filozoficzne wyjaśnienia. Spór ten trwa właściwie do dziś i nic nie wskazuje na to, by miał się szybko zakończyć.

Szczególnie dużo miejsca poświęciliśmy literaturze. Nie bez powodu. To właśnie literatura od stuleci najpełniej opisuje człowieka stojącego wobec dobra i zła. Pisarze często okazują się przenikliwsiymi obserwatorami ludzkiej natury niż historycy czy socjologowie. Joseph Conrad w „Jądrze ciemności” pokazuje, że źródła zła nie należy szukać wyłącznie w świecie zewnętrznym. Najciemniejsze miejsca mogą znajdować się w ludzkim wnętrzu. Historia Kurtza jest przestrożą przed przekonaniem, że człowiek zawsze pozostaje panem samego siebie.

Obok Conrada pojawiają się także inni twórcy, którzy na różne sposoby próbowali zrozumieć naturę zła. Dostojewski zastanawia się nad odpowiedzialnością człowieka za własne czyny. Orwell ukazuje mechanizmy totalitarnego zniewolenia. Mickiewicz przypomina o walce o zachowanie wolności wewnętrznej nawet wtedy, gdy wolność fizyczna zostaje odebrana. Każdy z tych autorów prowadzi nas

do podobnego wniosku: zło nie jest jedynie problemem historycznym czy politycznym. Jest przede wszystkim problemem człowieka.

Nie zabrakło również tematów współczesnych. W świecie mediów społecznościowych, internetu i nieustannego przepływu informacji zło często przybiera nowe formy. Hejt, manipulacja, dezinformacja czy obojętność wobec krzywdy drugiego człowieka stają się doświadczeniami codzienności. Jednocześnie coraz częściej spotykamy się ze zjawiskiem zubożenia. Oglądamy obrazy wojen, katastrof i ludzkiego cierpienia, po czym po kilku minutach przewijamy ekran dalej. Warto więc zapytać samych siebie, czy nie największym zagrożeniem staje się dziś utrata wrażliwości.

Lektura tekstów zamieszczonych w tym numerze prowadzi do jeszcze jednego ważnego wniosku. Rozmowa o złu jest jednocześnie rozmową o dobru. Nie sposób bowiem zrozumieć jednego bez drugiego. Każda historia o przemocy, niesprawiedliwości czy moralnym upadku zawiera również pytanie o odwagę, odpowiedzialność, solidarność i człowieczeństwo. Literatura, filozofia i historia pokazują, że nawet w najtrudniejszych czasach znajdowali się ludzie zdolni zachować godność i przeciwstawić się złu. To właśnie dzięki nim możemy wierzyć, że człowiek nie jest skazany wyłącznie na ciemność.

Tytuł sesji w Waplewie brzmiał „Ciemności kryją ziemię”. Trudno o lepsze podsumowanie problemów podejmowanych w tym numerze. Ciemność bywa obecna w historii, polityce, kulturze i ludzkiej psychice. Czasem ukrywa się pod wielkimi hasłami, czasem za pozorami normalności, a czasem pojawia się tam, gdzie najmniej się jej spodziewamy. Zadaniem literatury, sztuki i refleksji humanistycznej jest próbować tę ciemność rozpoznawać, opisywać i rozumieć. Nie po to, by się nią fascynować, ale po to, by lepiej dostrzegać wartość dobra.

Oddajemy ten numer w Wasze ręce jako ostatni numer **LOGOSU** przed wakacjami. Chcielibyśmy serdecznie podziękować wszystkim autorom, którzy publikowali swoje teksty na naszych łamach, nauczycielom wspierającym działalność redakcji oraz wszystkim Czytelnikom. Dziękujemy za każde dobre słowo, każdą uwagę, każdą rozmowę i każdą chwilę poświęconą na lekturę naszego pisma. To dzięki Wam **LOGOS** może istnieć i rozwijać się z numeru na numer.

Życzymy wszystkim spokojnych, bezpiecznych i inspirujących wakacji. Mamy nadzieję, że letni odpoczynek pozwoli nabrać sił, znaleźć czas na dobrą książkę, ciekawą rozmowę i chwilę refleksji. A we wrześniu zapraszamy ponownie – do kolejnych numerów, nowych tematów i nowych pytań, które wspólnie będziemy próbować stawiać i na które wspólnie będziemy szukać odpowiedzi.

Życzymy inspirującej lektury.

Redakcja „LOGOSU”

Dziękujemy, Julio!

Są osoby, bez których szkolne inicjatywy po prostu nie mogłyby istnieć. Taką osobą przez ostatnie dwa lata była dla **LOGOSU** Julia Piotrowska.

Pełniła funkcję sekretarza redakcji, ale każdy, kto uczestniczył w pracach naszego pisma, wie doskonale, że słowo „sekretarz” nie oddaje nawet połowy tego, co robiła. To Julia pamiętała o cotygodniowych spotkaniach redakcji. To ona pilnowała terminów, przypominała autorom o tekstach i sprawiała, że redakcyjne pomysły zamieniały się w konkretne działania. Można śmiało powiedzieć, że bez Julii wiele naszych zebrań po prostu by się nie odbyło.

Była jednak nie tylko organizatorką, ale przede wszystkim jedną z najbardziej aktywnych autorek **LOGOSU**.

Już w pierwszym numerze naszego pisma ukazała się jej obszerna rozmowa z dyrektorem Krzysztofem Wieleckim. Każdy, kto zna pana Profesora, wie, że nie jest łatwo namówić go na... krótką rozmowę. Julia nie tylko nie przestraszyła się tego wyzwania, ale również nie zniechęciła się, gdy okazało się, jak rozbudowany materiał powstaje. Co więcej jako pierwsza przygotowała swój tekst do druku. I tak już zostało. Rozmowa o szkole w pierwszym numerze jest wciąż jednym z najlepszych wprowadzeń do tego, jak dyrektor Wielecki widział i widzi rolę szkoły – naszej szkoły.

W kolejnych numerach regularnie pojawiały się jej kolejne rozmowy. Szybko okazało się jednak, że znalazła rozmówcę szczególnego. Stał się nim Jacek Olszewski. Ich rozmowy bardzo często stanowiły intelektualny rdzeń kolejnych wydań **LOGOSU**. Nie były to zwykłe wywiady popularyzujące wiedzę przyrodniczą. Stawały się próbą spojrzenia na najważniejsze ludzkie problemy z perspektywy natury.

Julia potrafiła pytać o rzeczy najprostsze, a jednocześnie najważniejsze. O płęć w przyrodzie. O to, co jemy. O ewolucję. O sposoby uczenia się świata. Ale także o dobro i zło, o ludzką naturę, o sens cierpienia a nawet o... szekspirowskiego Hamleta w świecie natury! W jej pytaniach zawsze było coś więcej niż ciekawość. Była w nich chęć zrozumienia świata. Dzięki temu pan Jacek otrzymywał przestrzeń do swoich niezwykłych opowieści, pełnych wiedzy, humoru i filozoficznej refleksji. Myślę, że taki rozmówca jak ty stawał się inspiracją do ponownego zadania sobie takich pierwszych pytań. Jak ważne są takie pytania, wie każdy nauczyciel, który ma za sobą już kilka lat pracy w szkole, które zdolne są ostudzić często te pierwsze idealistyczne lata pracy.

I coraz rzadziej spotykamy dziś takie relacje. I coraz rzadziej o nich myślimy jako o spotkaniu z czymś ważnym! My, nauczyciele, i Wy, uczniowie, często tylko zamykamy się w świecie ocen, sprawdzianów i szkolnych obowiązków. Wy - uczniowie nierzadko traktujecie nauczycieli wyłącznie jako osoby wystawiające stopnie. My - nauczyciele z kolei czasem zapominamy, że młodzi ludzie mogą być partnerem do naprawdę poważnych rozmów. Tymczasem najlepsza

edukacja zaczyna się wtedy, gdy pojawia się autentyczne pytanie. Edukacja to dialog! Jak inaczej określić te blisko 10 przeprowadzonych przez Ciebie rozmów jak nie dialog właśnie. Dialog, którego zarzewiem jest pytanie, naiwne pytanie – dlaczego?

Julia przez dwa lata przypominała nam, że szkoła może być miejscem takich właśnie rozmów. Rozmów bezinteresownych, podejmowanych nie dla oceny, nie dla świadectwa, lecz z czystej ciekawości świata. Rozmów, którym inni mogą się przysłuchiwać z zazdrością, bo pokazują one, czym naprawdę jest edukacja.

Julio, będzie nam brakowało Twoich tekstów, Twoich pytań i Twojej obecności na zebraniach redakcji. Mamy jednak nadzieję, że udało Ci się zarazić innych swoją pasją. Być może ktoś z młodszych uczniów, czytając Twoje rozmowy z Jackiem Olszewskim, pomyśli: „Kurczę, ja też tak umiem, ja też chciałbym zadać takie pytanie”. Być może ktoś odważy się usiąść z nauczycielem, wychowawcą czy ciekawym człowiekiem i rozpocząć rozmowę, która zaprowadzi go znacznie dalej, niż początkowo przypuszczał. I pozwoli tej rozmowie trwać, bo nieskończoną wartością twoje rozmowy była jej cierpliwa wierność pytaniu o przyrodę, a na to pytanie odpowiedzieć w naszym gronie był zdolny chyba tylko pan Olszewski – wybrałaś więc najlepiej jak można biorąc pod uwagę Twoje pasje.

Dziękujemy Ci za dwa lata pracy dla **LOGOSU**, za wszystkie teksty, rozmowy, pomysły i spotkania. Dziękujemy za czas, energię i zaangażowanie, które włożyłaś w rozwój NASZEGO pisma.

Życzymy Ci powodzenia na wymarzonych studiach, odwagi w realizowaniu kolejnych planów i tego, abyś nigdy nie utraciła jednej z najcenniejszych cech absolwenta naszej szkoły – umiejętności zadawania pytań.

Redakcja LOGOSU



MATEUSZ PIEKARCZYK

PYTA SKĄD ZŁO

MATEUSZ W czasie ostatniej lekcji rozmawialiśmy o dobru i złu. Zastanawiam się, czy człowiek rodzi się dobry, czy zły?

Mama Moim zdaniem człowiek rodzi się raczej dobry. Ma naturalną potrzebę bliskości, miłości i pomocy innym. Dopiero później środowisko i doświadczenia wpływają na jego zachowanie.

MATEUSZ Czyli nikt nie rodzi się zły?

Mama Nie powiedziałabym, że ktoś rodzi się zły. Oczywiście ludzie mają różne charaktery, ale zło jest raczej wynikiem wyborów, wychowania albo trudnych sytuacji.

MATEUSZ A skąd w takim razie bierze się zło na świecie?

Mama Z wielu powodów. Czasem z egoizmu, chęci zdobycia władzy, zazdrości albo strachu. Zdarza się też, że ludzie nie myślą o konsekwencjach swoich czynów.

MATEUSZ Myślisz, że zło zawsze można usprawiedliwić?

Mama Nie. Można próbować zrozumieć, dlaczego ktoś postąpił źle, ale zrozumienie nie oznacza usprawiedliwienia. Są czyny, których nie da się usprawiedliwić.

MATEUSZ Jakie skutki może przynieść zło?

Mama Przede wszystkim cierpienie. Może niszczyć relacje między ludźmi, powodować konflikty, a nawet prowadzić do tragedii. Zło często zostawia ślad na długo.

MATEUSZ A teraz trochę żartobliwe pytanie. Czy przegrana Widzewa to jest zło?

Mama (*śmiech*) Dla niektórych kibiców pewnie tak! Ale obiektywnie nie jest to zło. To po prostu wynik sportowej rywalizacji. Ktoś musi wygrać, a ktoś przegrać.

MATEUSZ Czyli kibice czasem przesadzają?

Mama Jak najbardziej. Sport powinien dostarczać emocji, ale nie powinien prowadzić do nienawiści czy agresji.

MATEUSZ Dlaczego ludzie świadomie czynią zło, skoro wiedzą, że jest złe?

Mama Czasem kierują się własną korzyścią. Innym razem są przekonani, że cel uświęca środki. Bywa też, że chcą się zemścić albo nie potrafią panować nad emocjami.

MATEUSZ Czy każdy człowiek jest zdolny do czynienia zła?

Mama Myślę, że tak. Każdy może popełnić błąd albo zachować się niewłaściwie. Ważne jest jednak, czy potrafi się do tego przyznać i naprawić swoje błędy.

MATEUSZ To trochę przerażające.

Mama Może trochę, ale jednocześnie każdy człowiek jest też zdolny do czynienia dobra. To od naszych decyzji zależy, którą drogę wybierzemy.

MATEUSZ Czy zło można pokonać dobrem?

Mama Często tak. Dobro nie zawsze zwycięża od razu, ale życzliwość, pomoc i przebaczenie potrafią zmieniać ludzi. Historia zna wiele takich przykładów.

MATEUSZ A jak literatura i filmy pokazują zło?

Mama Bardzo różnie. Często pokazują, jakie są przyczyny zła i jakie są jego skutki. Dzięki temu możemy lepiej zrozumieć ludzkie zachowania.

MATEUSZ Czyli zło w książkach i filmach nie jest pokazywane tylko po to, żeby straszyć?

Mama Nie. Często pełni funkcję ostrzeżenia albo pomaga dostrzec wartość dobra. Bez pokazania zła trudno byłoby zrozumieć, czym jest dobro.

MATEUSZ A co z wygrywaniem Polaków? Czy kiedy Polacy wygrywają, to zawsze jest dobro?

Mama Nie zawsze. Sama wygrana nie jest jeszcze dobrem ani złem. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób została osiągnięta.

MATEUSZ Czyli jeśli ktoś wygra uczciwie, to jest dobrze?

Mama Tak. Uczciwa wygrana może być powodem do dumy. Ale jeśli ktoś wygra dzięki oszustwu albo krzywdząc innych, trudno nazwać to dobrem.

MATEUSZ Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Często myślimy, że nasi wygrywają, więc wszystko jest w porządku.

Mama: A warto patrzeć szerzej. Dobro wiąże się z uczciwością, szacunkiem i odpowiedzialnością, a nie tylko z samym zwycięstwem.

MATEUSZ Czy myślisz, że świat jest bardziej dobry czy bardziej zły?

Mama Myślę, że jest w nim dużo dobra. O złu częściej słyszymy w wiadomościach, dlatego wydaje się bardziej widoczne. Ale codziennie ludzie pomagają sobie nawzajem, wspierają się i okazują życzliwość.

MATEUSZ Czyli warto wierzyć, że dobro ma sens?

Mama Zdecydowanie. Nawet małe dobre uczynki mogą mieć duże znaczenie dla innych ludzi.

MATEUSZ Dziękuję za rozmowę. Dała mi dużo do myślenia.

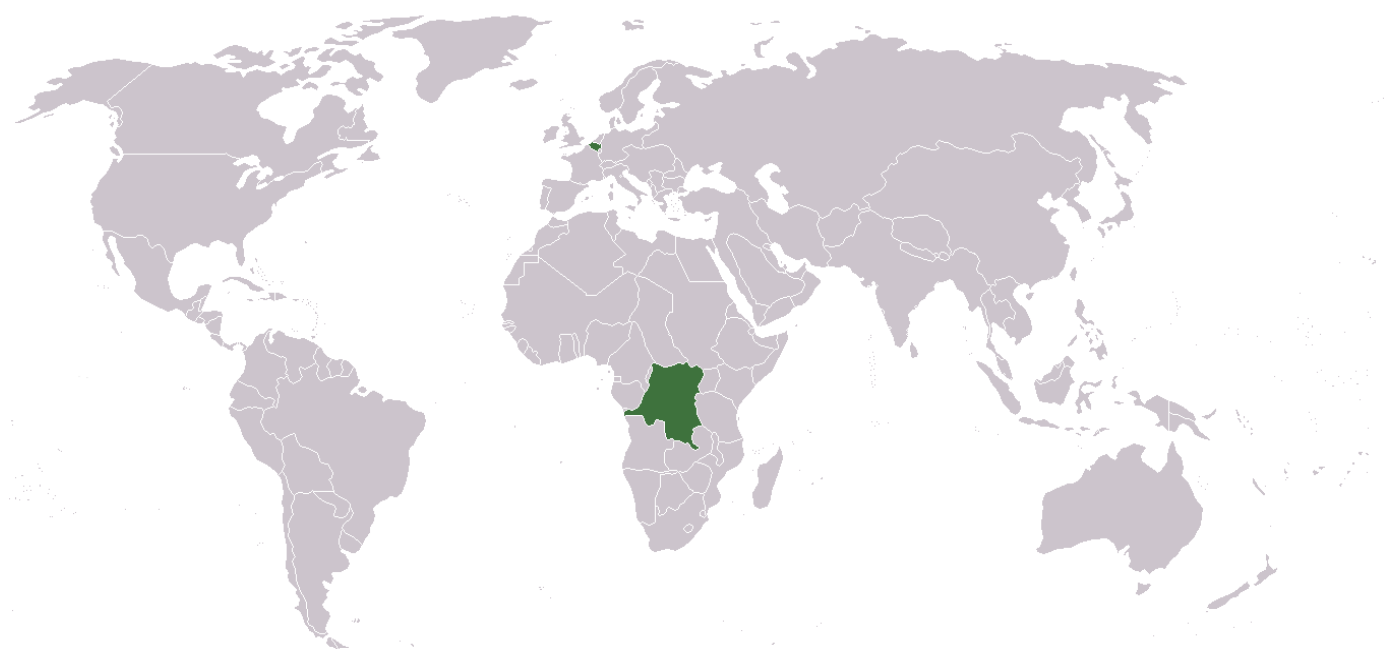
Mama Cieszę się. Takie rozmowy są ważne, bo pomagają lepiej rozumieć świat i samego siebie.

BORYS ALEKSIEJUK

„Ohydna” strona ludzkości

w Jądrze ciemności Josepha Conrada

Zło, zaprezentowane przez Josepha Conrada w jego wybitnym dziele pt. „Jądro ciemności”, emanuje na różnych płaszczyznach i poziomach. Pewne oblicza zła są bardziej widoczne i ogólnikowe, a inne ukryte i wymagające dogłębniejszego zbadania. Po ich poznaniu i rozpatrzeniu możliwe jest połączenie ich w całość, która pozwala nam zrozumieć ową „ohydę” rodzaju ludzkiego. Zarówno pod względem jednostki, jak i całego systemu, który tę jednostkę stworzył. W niniejszym tekście posłużę się typową dla Conrada indukcyjną metodą badania problemu. Zacznę od szczegółowego



zła jednostki – Kurtza, a następnie przejdę do zła systemu, jakim jest imperializm kolonialny.

Zło zrodzone w otchłani – Kurtz

Pierwszym obliczem zła, którym chciałbym się zająć, jest zło wewnętrzne człowieka, zło bardzo ukryte i zagłębione w naturze jednostki, zgoła niewidoczne. Jest to zło, które rodzi się, gdy człowiek postawiony wobec otchłani wchodzi w nią i korzysta z jej darów, stając się nikczemną kreaturą. I nie chodzi tutaj o to, że człowiek, który w ową otchłań wpadł, jest zły. Zdecydowanie nie. Najgorsze jest przyjęcie tej otchłani do siebie, wypełnienie tą otchłanią całej swojej duszy, ciche zezwolenie na jej działanie w obrębie własnego umysłu. Człowiek, który taką pustkę do siebie przyjmie, traci cechy człowieka i nie wierzy już w coś takiego jak zło czy dobro. To człowiek, który nie wie, że jest zły. Z tego właśnie powodu jest on bardzo niebezpieczny. Taką istotą jest Kurtz – jeden z głównych agentów kompanii belgijskiej w Kongo.

Natomiast człowiek, który, spotkawszy otchłań, konfrontuje się z nią i nie przyjmuje jej do duszy, jest człowiekiem dobrym, silnym i walczącym. Takim człowiekiem jest Charles Marlow – kapitan parowca, którego misją było odebranie agenta Kurtza ze stacji. Marlow, spotykając się z Kurtzem, zetknął się z nieprzeniknioną ciemnością, która zapanowała w tym człowieku. Zobaczysz, co dzieje się z

człowiekiem, który wobec nicości skorzystał z tego, co ma ona do zaoferowania. I spotkawszy się z takim zjawiskiem, wszakże bardzo fascynującym zjawiskiem, zrozumiał doskonale, jakim złem ono emanuje. Marlow odrzuca ten „dar” pustki, który Kurtz przyjął, nie korzysta z tego, że mógłby dzięki niemu zrobić absolutnie wszystko. Czemu? Bo doskonale widzi, co się stało z Kurtzem. Właśnie dlatego Kurtz tak bardzo interesuje Marlowa, stał się jego obiektem badawczym, z którym, bądź co bądź, nawiązał pewną relację.

Aczkolwiek nasuwa się pytanie: czy to Kurtz nie był silny i odważny w odwrotnym procesie? Czy, korzystając z możliwości zrobienia absolutnie wszystkiego, nie musiał posiadać śmiałości, aby przebić się do jądra ciemności? Owszem, musiał, jednak w tym przypadku cechy, które wymieniał powyżej – siła, odwaga i śmiałość – stają się szpetne. Stają się spaczne przez zło. Kurtz był człowiekiem obrzydliwie silnym, odważnym i śmiałym. Podporządkował on sobie w końcu liczne plemiona Afrykanów w dolinie Kongo. Stał się największym eksporterem kości słoniowej w kompanii, przy czym nie bał się pobrudzić sobie rąk krwią tubylców, o czym świadczą m.in. ich obcięte głowy nabite na żerdzie. Wielu agentów kompanii określa go mianem człowieka „nadzwyczajnego”, „wielkiego”, „niespotykanego”. Asystent Kurtza, który przebywał z nim na stacji, mówi o nim jako o człowieku, z którym się nie dyskutuje, a którego się słucha. Stał się obiektem kultu, do którego można było zbliżyć się jedynie na czworakach. Zaskakująco długo utrzymywał się na pozycji bóstwa i pewnie byłby nim jeszcze dłużej, gdyby nie zmoęła go choroba, zarówno fizyczna, jak i psychiczna.

Jednak to nie brak fizycznej witalności zadecydował o upadku Kurtza, a fakt, iż nie zdołał wytrzymać otchłani, w której zanurzył się po uszy. Wskutek czego otchłań najzwyczajniej wypłuła go. Kurtz nie zdołał wytrzymać ciężaru otchłani, która go otaczała i w której tak długo funkcjonował. W pewnym momencie po prostu pękł. Masowe mordy na Afrykanach, wyniesienie samego siebie do stopnia bóstwa – działania Kurtza niewątpliwie się na nim odbiły. Agent Kurtz przez chwilę stał się nietzscheańskim *Übermensch*¹, ale nie utrzymał się na tej pozycji. Po przeniesieniu na parowiec chory Kurtz ucieka nocą na ląd, zmierzając na plemienny rytuał. Jest to chęć pozostania na stacji, chęć powrócenia do ciemności. Marlow odnajduje Kurtza pełzającego na czworakach w stronę dzikiej dżungli i konfrontuje się z człowiekiem, który jest już za słaby na ponowne skorzystanie z tego, co dżungla ma do zaoferowania. Kurtz w tamtym momencie utracił swoją boskość i zamiast wrócić do statusu osoby, do której, zbliżając się, należy pełzać, sam stał się pełzaczem.

Zdaje on sobie z tego sprawę w czasie podróży powrotnej w dół rzeki. Jego ostatnie dni są istną katogą dla Kurtza pod względem zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Kurtz bardzo cierpi na czerwonkę. Im bardziej parowiec oddala się od stacji, płynąc w dół rzeki, tym bardziej Kurtz staje się słabszy. W pewnym momencie nadchodzi chwila, w której zdaje sobie sprawę ze swojej egzystencji i tego, co stało się z nim podczas „transu nadczło-



Leopold II (1835–1909) – król Belgów w latach 1865–1909. Najbardziej znany jako twórca i faktyczny właściciel Wolne Państwo Kongo, które traktował jak swoją prywatną kolonię. Eksploatacja ludności kongijskiej podczas jego rządów doprowadziła do ogromnej liczby ofiar i stała się jednym z największych skandali kolonialnych przełomu XIX i XX wieku.



wieka”. Szaleństwo, w którym wcześniej przebywał, ustępuje w nim miejsca zdrowemu, lecz okrutnemu samosądowi. Marlow w swojej opowieści ujmuje w następujący sposób ostatnie chwile Kurtza:

(„Czegoś takiego, co choćby w przybliżeniu przypominało zmiany, jakie dokonywały się na jego obliczu, nigdy nie widziałem i mam nadzieję nigdy już nie ujrzeć. Och, nie byłem wstrząśnięty. Byłem zafascynowany. Wyglądało to tak, jakby rozdarto zasłonę. Na tym obliczu z kości słoniowej ujrzałem wyraz posępnej pychy, bezwzględnej wszechmocy, tchórzliwego strachu – wszechogarniającej i beznadziejnej rozpacz. Czy w tej rozstrzygającej chwili wiedzy zupełnej przeżywał na nowo życie w każdym najmniejszym pragnieniu, pokusie i upadku? Wołał szeptem do jakichś wizji, zjaw jakichś – wołał po dwakroć krzykiem będącym tchnieniem nieledwie... „Zgroza! Zgroza!”.”) – str. 107.² Trawiony przez czerwone Kurtz umiera w mękach, ale jako człowiek. Jego ostatnie słowa wybrzmiewają równie mocno w każdym z dostępnych tłumaczeń: „Ohyda! Ohyda!”, „Zgroza! Zgroza!”, „Horror! Horror!”. Jest to wyraz przerażenia egzystencją ludzką, a zarazem ocena swojego życia, ale w sposób ludzki, niezamroczony pustką. I to właśnie uderza naj-

bardziej – świadome osądzenie swoich czynów. Człowiek, którego dopada własne sumienie, zwykle żałuje i kaja się za to, co uczynił. Na pokajanie dla Kurtza było już zdecydowanie za późno, z czego zdał sobie sprawę dopiero na łożu śmierci. Otchłań na tyle długo trzymała go w sobie, że powrót do normalnego funkcjonowania był dla niego niemożliwy.

Powstaje jednak kolejne pytanie. Dlaczego owa otchłań tak łatwo znalazła sobie miejsce w sercu Kurtza? Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w pierwotnym środowisku danego człowieka. W tym przypadku winą jest obarczona cywilizacja europejska w duchu oświeconego kolonializmu. Wielu stwierdzi, że to obecność złowieszczej kongijskiej dżungli za tym stoi. Będą oni mieli po części rację. Jednak samotność, której człowiek ulega w takim miejscu, nie jest sama w sobie niebezpieczna, bowiem liczy się to, co dla człowieka oznacza taka samotność. Dla Kurtza oznaczała ona całkowitą wolność i możliwość przestąpienia najśmielszych progów własnych żądz.

Zło systemu – kolonializm

Dlaczego dzicz i otchłań tak łatwo znalazły sobie miejsce w sercu Kurtza i nad nim zapanowały? To pytanie wydaje nam się bardzo ważne w kontekście ludzi przybywających do Konga. Wielu agentów i „pielgrzymów”, których Marlow spotkał w trakcie wyprawy, przebywało w kolonii od dłuższego czasu. Dyrektor kompanii, napotkany przez Marlowa, spędził w stacji aż 9 lat. Jest to czas, który w pewnym stopniu odpowiada czasowi spędzonemu przez Kurtza w kolonii. („Bez wykształcenia, bez inteligencji... dostał tę posadę (dyrektora) – ale z jakiej przyczyny? Zapewne dlatego, że nigdy nie chorował... Przepracował tam trzy zmiany po trzy lata... Triumf zdrowia, prawda, w obliczu powszechnego zaniku witalności stanowi siłę samą w sobie.”) – str. 34.

Zatem to nie długość spędzonego czasu w kolonii, a inny czynnik wpływa na człowieka w taki sposób, w jaki wpłynął na Kurtza. Dalej natrafiamy na równie ciekawy fragment traktujący o postaci dyrektora: („Był wielki skutek takiego drobiazgu jak to, że nikt nie umiał powiedzieć, co mogłoby trzymać tego człowieka na wodzy. Nikomu nie zdradził tego sekretu”) – str. 34. Powyższy fragment podsuwa

nam pomysł, iż stan dyrektora jest podobny do stanu Marlowa. Iż dyrektor wzdrygał się przed wszelkimi środkami przemocy i terroru, zachowując proste etyczne zasady, które pozwoliły mu przetrwać w anarchistycznej dżungli. Nic bardziej mylnego. Dyrektor sam odpowiada na to pytanie, przy okazji wyjaśniając kwestię odporności innych agentów i pielgrzymów na warunki panujące w dżungli (albo ich brak). („Pewnego razu, gdy rozmaite tropikalne choroby powaliły niemal wszystkich „agentów” w faktorii, usłyszano, jak mówił: „Ludzie przyjeżdżający tutaj nie powinni mieć trzewi”.³ Przypieczętował wypowiedź owym grymasem, niczym ktoś, komu pieczy powierzono wrota otwierające się ku ciemności. Człowiek wyobrażał sobie, że widział różne rzeczy... ale pieczęć pozostawała nienaruszona”) – str. 34–35.⁴

Wypowiedź dyrektora stwarza nową kategorię ludzi – „ludzi wydrążonych”. Nie należy do nich ani Marlow, ani Kurtz. Wpisują się w nią wszyscy agenci i pielgrzymi kompanii, którzy z pozoru służą wielkiej misji kolonialno-oświeceniowej, a faktycznie eksploatują całą krainę, nie szczędząc przy tym brutalnych metod stosowanych wobec rdzennych mieszkańców. Marlow w czasie wyprawy spotyka się z wieloma przykładami działań, które pełnią funkcję zasłony prawdziwej twarzy kolonializmu. Wśród nich można wymienić m.in. ostrzał dżungli przeprowadzany przez francuski okręt wojenny, który, jak wspomina Marlow, wywarł na nim wrażenie „smętnej błazenady”. Kolejnym przykładem jest detonowanie klifu, który w żadnym stopniu nie przeszkadzał w budowie kolei. Następnym bezcelowym działaniem było wykorzystywanie rdzennych mieszkańców do kopania rowów w ziemi. Dlaczego? Odpowiedź nasuwa się sama.

Zarządcy faktorii i agenci są u Conrada aktorami, którzy zasłaniają się ową kurtyną, doskonale zdając sobie sprawę z tego, co dzieje się wewnątrz. Ich głównym celem jest zdobycie jak największego majątku z eksploatacji surowców w kolonii. Zasłona, za którą się kryją, pozwala im na stosowanie metod zupełnie bestialskich w celu jak najszybszego wzbogacenia się. Kieruje nimi chciwość, której żadne prawo nie jest w stanie zatrzymać, ponieważ ta kraina nie ma żadnych praw ani sędziów. Ludobójstwo na tak masową skalę mogło być zorganizowane jedynie przez „ludzi wydrążonych”, którzy broniła przed światem idea niesienia światła cywilizacji i nauki.

W celu dokładniejszego zrozumienia tego, co opisał Conrad, należy czerpać ze źródeł historycznych. Musimy cofnąć się do czasów belgijskiego imperium kolonialnego, a dokładniej Wolnego Państwa Kongo. Wolne Państwo Kongo było królestwem istniejącym w latach 1885–1908, będącym prywatną własnością Leopolda II – króla Belgów. Pod patronatem Leopolda w Wolnym Państwie Kongo działalność prowadzić miały towarzystwa misjonarskie i filantropijne, handel miał zostać otwarty dla wszystkich zainteresowanych. Szybko się jednak okazało, iż realną władzę w kolonii sprawują zależne od króla spółki handlowe eksploatujące dorzecze. Prowadziły one rabunkową gospodarkę przy pozyskiwaniu kauczuku i kości słoniowej, swe zyski opierając na przymusowej pracy tubylców.⁵ System przymusowej pracy zastosowany w kolonii doprowadził do śmierci 10 mln ludzi z 20 mln populacji. Są to ogromne liczby, które podkreślają wagę ludobójstwa przeprowadzonego w Kongu.

Joseph Conrad widział tę śmierć na własne oczy. Podróżował on po kolonii w 1890 roku od 13 czerwca do ok. 17 października. Oczywiście masowe ludobójstwa nie były wówczas rozpowszechnione, więc Conrad nie mógł o nich wiedzieć, przynajmniej nie na taką skalę, jak 20 lat później po odkryciu zbrodni. Mimo to w „Dzienniku kongijskim” pisze: („[...] ujrzelśmy na miejscu obozowania martwe ciało Bakongo. Zastrzelony? Okropny odór” (str. 7); „Widziałem znów martwe ciało leżące przy ścieżce w pozie pełnego zamyślenia spoczynku” (str. 8); „Dzisiaj na drodze

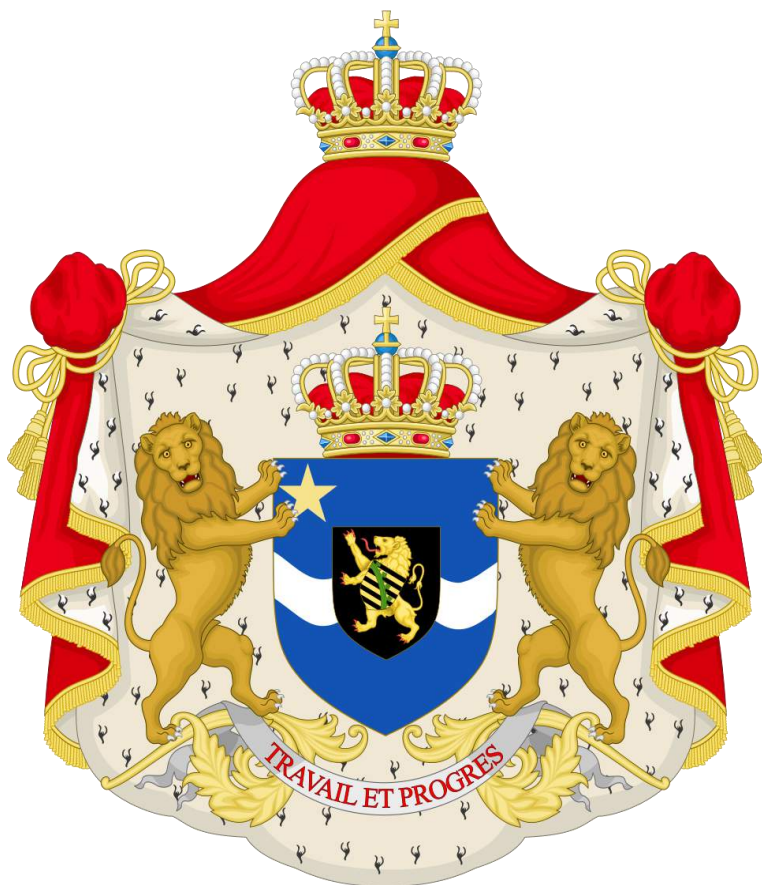


minęliśmy szkielet przywiązany do słupa” (str. 13)). W lekturze możemy odnaleźć wiele takich obrazów, które Conrad umieścił przed oczyma Marlowa, niejako opisując własne doświadczenia. Conrad publikuje „Jądro ciemności” po raz pierwszy w 1899 roku w „Blackwood’s Magazine”, w trzech odcinkach. Dziewięć lat przed przekazaniem terytorium państwu belgijskiemu i zdecydowanie przed ujawnieniem masakr. Nadaje to szczególną wartość tej książce.

Ohyda! Zgroza! Horror! – Podsumowanie

Wróćmy jednak do kwestii Kurtza. Człowiek ten przyjechał do Konga z tych samych pobudek co ludzie wydrążeni, z powodu misji cywilizacyjnej lub chęci zdobycia majątku. Wkrótce te pobudki znikły, były jedynie punktem zaczepnym całego problemu. Nie wykazywał się jednak chciwością, jak reszta agentów, a zaciekawieniem tym, na co człowiek może sobie pozwolić, gdy nikt go nie pilnuje, a wszystkie działania takiego człowieka są usprawiedliwiane przez idee. To właśnie spowodowało, że otchłań tak pochłonęła Kurtza. Późniejszy fakt, którym było rozdarcie pięknych, oświeconych szat, w które przyoblekł się kolonializm, był powodem usunięcia Kurtza ze stacji. Jego działania wobec Afrykanów zaczęły śmierdzieć, a dostarczana przez niego kość słoniowa zamiast bieli zaczęła być krwista.

System, w którym przyszło Kurtzowi funkcjonować, kwituje swoimi ostatnimi słowami: „Ohyda! Ohyda!”, „Zgroza! Zgroza!” lub „Horror! Horror!”. Słowa te zatem nie określają jedynie wewnętrznego stanu Kurtza, ale wyrażają ohydę imperializmu kolonialnego. Nie możemy zatem nazywać Kurtza człowiekiem wydrążonym. Jest to człowiek zaiste wgłębiany w ciemność, którą system umożliwił mu poznać. Metaforycznie rzecz ujmując, „Jądro ciemności” Josepha Conrada jest książką idealnie odzwierciedlającą sytuację, w której człowiek stworzony przez zbrodniczy system kolonializmu zostaje złamany przez zło, z którego skorzystał, a jego zbrodnica stworzycielka zamiast przyjąć go do siebie, zabija, ponieważ okazał się dzieckiem gryzącym sutek pojącej go matki.



To jest herb Wolne Państwo Kongo (fr. *État indépendant du Congo*), prywatnego państwa kolonialnego należącego do Leopolda II w latach 1885–1908. Najważniejsze elementy herbu:

- **Motto:** *Travail et Progrès* („Praca i postęp”).
- **Dwa lwy** podtrzymujące tarczę – symbol władzy i monarchii.
- **Korona królewska** – wskazuje na związek z królem Belgów.
- **Niebieska tarcza z gwiazdą** – gwiazda była jednym z głównych symboli Wolnego Państwa Kongo.
- **Mała tarcza pośrodku** to herb dynastii sasko-koburskiej, z której pochodził Leopold II.

Historycznie herb ten kojarzony jest z jednym z najbardziej brutalnych systemów kolonialnych XIX wieku. Pod rządami Leopolda II w Kongu funkcjonował system przymusowej pracy przy pozyskiwaniu kauczuku i kości słoniowej, który doprowadził do śmierci milionów mieszkańców. To właśnie te wydarzenia stanowiły ważne tło dla powstania *Jądro ciemności* Josepha Conrada.

Licealiści pytają swoich młodszych kolegów - czym jest zło?

Jak dzieci rozumieją zło?

Czym jest zło? To pytanie od wieków stawiają sobie filozofowie, pisarze i teologowie. Okazuje się jednak, że równie interesujących odpowiedzi potrafią udzielić dzieci. Uczniowie szkoły podstawowej, z którymi rozmawiali licealiści, wskazywali bardzo różne oblicza zła: agresję, nienawiść, chciwość, przestępstwa, a nawet codzienne konflikty i kłótnie. Niektórzy dostrzegali je w ludzkich emocjach, inni w konkretnych czynach lub postaciach znanych z życia publicznego. W ich wypowiedziach pojawiały się zarówno spontaniczne skojarzenia, jak i zaskakująco dojrzałe refleksje na temat odpowiedzialności, przebaczenia i możliwości zmiany własnego postępowania.

Publikujemy zapis tej rozmowy, ponieważ pokazuje ona, że pytania o dobro i zło nie są zarezerwowane wyłącznie dla dorosłych. Dzieci również próbują zrozumieć świat moralnych wyborów, a ich szczere odpowiedzi pozwalają spojrzeć na ten problem z nowej, często bardzo inspirującej perspektywy.

Tekst powstał na podstawie króciutkich rozmów przeprowadzonych przez licealistów z uczniami naszej szkoły podstawowej.

ELA

To jest dla mnie coś, co pcha do robienia rzeczy, które czasami krzywdzą innych ludzi. I to jest taka emocja, która pcha do robienia negatywnych rzeczy dla mnie. Takich, które szkodzą innym osobom.

ŁUKASZ

Dla mnie zło to są reklamy, bo są nudne, długie. I zastanówcie się, czy kiedykolwiek obejrzeliscie reklamę i pomyśleliście: „Hmm, ten przedmiot by mi się na pewno przydał”. I co? Kupiliście go? No chyba nie!

KALINA

Dla mnie zło to jest chciwość. No bo chciwość pcha cię jakby do złych czynów, że jak jesteś chciwy, to możesz kraść albo robić jakieś inne rzeczy, które dla innych ludzi są bardzo niemile.

LENA

A dla mnie zło to jest emocja, którą każdy człowiek ma w sobie i ona czasami krzywdzi, a czasami prowadzi do rozwiązania. Moim zdaniem, jeśli ktoś ma zło w sobie, to może je złagodzić. Coś, co człowiek może albo wzmocnić, albo na przykład są psycholodzy i psycholog może pomóc złagodzić tę złość, która jest w tobie. Złość można złagodzić, bo możesz pomyśleć sobie, że skrzywdziłem kogoś, kogoś kto zabołało. Nieważne jak, czy uderzył kogoś, czy może powiedział mu jakieś niemile słowo, no to może po prostu przyjść do tego, że krzywdził i przeprosić. I wtedy jakby ta złość trochę znika, bo myśli, że no już, że to było złe i po prostu spróbowali się pogodzić. Tak, czyli można też takie zło „przypracować”.

PIOTREK

Dla mnie zło to Putin.

NINA

Złem są przestępstwa.

FRANEK

Zło to diabeł.

LUCJA

Dla mnie złem jest szkoła.

KATKA

Jak dzisiaj jechałem do szkoły, to psa niechcący wystraszyłem i chciał mnie ugryźć.

ANTOSIA

A dla mnie zło to jest trochę agresja, trochę nienawiść i trochę złość. Znaczy po prostu emocja.

HELA

Zło to jest, no, to jest taka agresja i... No, to też jest złe. Agresja jako... Ona może wywoływać nienawiść. Tak. Ja też czasami, jak jestem zła, to czasami biję siostrę.

MIŁO I POLA

Dla mnie zło to jest przystępstwo. Właśnie. Bardzo dobrze. Właśnie. Dla ciebie też? Tak. Dla mnie zło to jest jak ona się ze mną kłóci, mimo że jesteśmy przyjaciółkami. Czasami się kłócimy, Milo.

LEON

Dla mnie złem może być prawie wszystko.



googleusercontent.com/image_collection/..

TYMON LEWANDOWSKI

*Tradycja zła**Rozprawa na podstawie Jądra ciemności Conrada*

„Zgroza! Zgroza!” — ostatnie słowa Kurtza, bohatera powieści Josepha Conrada, brzmią jak wyrok na całą ludzkość, nie tylko na jednostkę. Pytanie o naturę zła należy do najbardziej trwałych w historii myśli: czy zło jest wytworem wadliwych struktur społecznych, które można naprawić, czy też tkwi głębiej, w samym człowieku, czekając jedynie na odpowiednie warunki, by się ujawnić? Analiza *Jądra ciemności* w zestawieniu ze *Zbrodnią i karą* Dostojewskiego oraz filmami *Apocalypse Now* Coppoli i *Strefa interesów* Glazera prowadzi do jednoznacznego wniosku: zło ma charakter antropologiczny. Kolonializm, wojna, system biurokratyczny — to nie przyczyny zła, lecz jedynie okoliczności, w których spada z niego cywilizacyjna maska.

Conrad buduje swoją powieść jako podróż w głąb — zarówno geograficzną, w dżunglę Konga, jak i metafizyczną, w głąb ludzkiej psychiki. Marlow, narrator, kieruje się w górę rzeki nie tylko po to, by odnaleźć Kurtza, ale by zmierzyć się z tym, czym człowiek jest, gdy przestają obowiązywać konwencje. Kurtz to postać pozornie wyjątkowa: wykształcony, obdarzony charyzmą idealista, przedstawiciel cywilizacji. A jednak właśnie on staje się uosobieniem nieograniczonego okrucieństwa, otacza swoją chatę słupami z głowami, rządzi jak bóstwo, przekracza wszelkie granice moralne. Conrad tymczasem wyraziście daje do zrozumienia, że przemiana Kurtza nie jest degeneracją, lecz odsłonięciem. Dżungla nie stworzyła w nim potwora, ale usunęła jedynie cywilizacyjne hamulce, które tamowały to, co zawsze było w środku. „Ciemność” tytułu nie opisuje Afryki, tylko wnętrza europejskiego człowieka.

Znaczącym kontekstem filozoficznym dla tej interpretacji jest myśl Jean-Jacques’a Rousseau. W *Rozprawie o nierówności* Rousseau głosił, że człowiek w stanie natury jest z gruntu dobry — to cywilizacja, własność prywatna i instytucje społeczne deformują go moralnie. Gdyby racja była po stronie Rousseau, Kurtz, oderwany od cywilizacji, zanurzony w „czystej” naturze, powinien zbliżyć się do ideału szlachetnego dzikusa. Tymczasem dzieje się odwrotnie: im dalej od cywilizacyjnych struktur, tym głębiej w barbarzyństwo. Conrad prowadzi zatem polemikę z optymizmem oświeceniowym. Natura nie uszlachetnia, natura tylko nie ukrywa. Zło nie jest importem cywilizacji w raj pierwotny; jest warstwą fundamentową każdej ludzkiej osobowości, zaledwie przykrytą konwenansem i prawem.

Tę samą intuicję odnaleźć można w *Zbrodni i karze* Dostojewskiego. Raskolnikow nie jest ofiarą kolonializmu, biedy czy złego systemu, lecz ofiarą własnej pychy i intelektualnego samooszustwa. Jego teoria „niezwykłego człowieka”, wedle której jednostki wybitne mają prawo przekraczać normy moralne, jest projekcją wewnętrznego pragnienia onnipotencji, nie zaś odpowiedzią na zewnętrzny ucisk. Co znamienne, Dostojewski, pesymista antropologiczny, nie wierzy, że zmiana warunków społecznych wyleczy Raskolnikowa. Jedyną drogą jest wewnętrzna przemiana przez cierpienie i pokutę. Zło pochodzi ze środka, tam też musi być przepracowane. Podobieństwo z Kurtzem jest uderzające: obaj są wykształceni, inteligentni, ideologicznie przekonani o własnej wyjątkowości i obaj odkrywają w sobie przepaść, której żadna teoria zewnętrzna nie tłumaczy.

Kinowy dialog z Conradem poszerza i komplikuje tę diagnozę. *Apocalypse Now* Francisza Forda Coppoli to niemal wierne przełożenie „Jądra ciemności” na kontekst wojny wietnamskiej: kapitan Willard wyrusza w górę rzeki, by zabić pułkownika Kurtza, geniusza, który przekroczył granicę. Coppola pokazuje jednak, że granica ta jest nie tylko cienka, ale arbitralna: armia, która wysłała Willarda z misją likwidacji, sama dopuszcza się użycia napalmu i masowych mordów. System nie jest antytezą Kurtza, ale jego wersją z korporacyjną twarzą. Jeszcze dosadniej ten mechanizm ukazuje *Strefa interesów* Jonathana Glazera: komendant Auschwitz Rudolf Höss i jego rodzina żyją w idyllicznym domu przy murze obozu koncentracyjnego. Zło jest tu niewidoczne wprost, lecz słyszalne, wyczuwalne, obecne w banalności codzienności. Glazer dowodzi, że do popełnienia potworności nie potrzeba demona, wystarczy zwykły urzędnik, który nigdy nie był zmuszony spojrzeć w siebie. Cywilizacja biurokratyczna nie wyeliminowała zła — jedynie je zorganizowała.

Równie istotna jak postać Kurtza jest perspektywa Marlowa, czyli narratora, który obserwuje jego upadek, lecz nie pozostaje wobec niego zewnętrznym. Conrad celowo konstruuje tę relację jako rozpoznanie, nie tylko świadectwo. Marlow przyznaje, że coś w Kurtzu go fascynuje, że rozumie go głębiej, niż powinien rozumieć człowiek cywilizowany. W jednym z kluczowych momentów stwierdza, że i on musiał zmierzyć się z własną ciemnością oraz że ocalił go jedynie przypadek okoliczności, nie zaś wyższość charakteru. Conrad jest w tym bezlitosny — Marlow nie jest moralnym przeciwieństwem Kurtza. Jest Kurtzem, który miał szczęście nie zostać wystawiony na próbę do końca. Zło w powieści nie jest więc właściwością jednej zdegenerowanej jednostki, ale potencjałem rozpoznawalnym przez każdego, kto zdobędzie się na szczerłość wobec samego siebie.

Zestawienie *Jądra ciemności* z dziełami Dostojewskiego, Coppoli i Glazera rysuje spójną i niepokojącą wizję antropologiczną: zło nie jest cechą systemu, ideologii ani historycznej chwili, lecz stałym składnikiem ludzkiej natury. Kolonializm, totalitaryzm i wojna nie tworzą zła, lecz stwarzają warunki, w których nie trzeba go już dłużej ukrywać. Rousseau mylił się co do dzikości — i dzikość nie tkwi w naturze zewnętrznej, lecz w samym człowieku. Conrad wiedział o tym doskonale: tytułowe „jądro ciemności” to nie centrum Afryki. To centrum każdego z nas.

To w zasadzie korekta kosmetyczna. Tekst jest na bardzo dobrym poziomie maturalnym, z dojrzałą argumentacją, trafnie dobranymi kontekstami i spójnym wywodem. Najważniejsze poprawki dotyczyły interpunkcji oraz kilku niezręczności składniowych.



ALEKSANDER PSTRZUCH PYTA CO TO JEST ZŁO?

Alex Mamo, co to właściwie jest to „zło”?

Mama Uważam, że zło to wszystko to, co celowo krzywdzi innych ludzi, żywe stworzenia lub nasz świat. Kto czyni zło z premedytacją, jest pozbawiony miłości i dobra w sercu.

Alex A skąd się bierze zło na świecie?

Mama Często bierze się z zazdrości, chciwości albo złości. Czasami ludzie robią złe rzeczy, bo sami są nieszczęśliwi i nie potrafią sobie z tym poradzić. Kiedy czynią zło, czują ulgę, ponieważ wyrzucają z siebie negatywne emocje.

Alex Czy człowiek rodzi się już zły?

Mama Każde dziecko rodzi się dobre i czyste. Wiele zależy od tego, w jakim otoczeniu dorasta, czego się uczy i jakie decyzje podejmuje. Ważne jest, czy wybiera w życiu dobro, czy zło. Uważam, że duży wpływ na kształtowanie charakteru dziecka mają rodzice. To oni powinni przekazać dziecku, na czym polega dobro i zło oraz czego nie wolno robić.

Alex Dlaczego niektórzy ludzie robią złe rzeczy, skoro wiedzą, że to boli?

Mama Bo w danym momencie myślą tylko o sobie i o tym, co sami chcą zyskać. Zapominają o empatii, czyli o umiejętności wczucia się w to, co czuje druga osoba.

Alex Czy małe kłamstwo albo dokuczanie w szkole to też jest zło?

Mama To takie małe ziarna zła. Każde zachowanie, które sprawia, że ktoś przez nas płacze albo czuje się źle, jest czymś złym. Dlatego tak ważne jest, żeby szybko przeprosić i naprawić swój błąd.

Alex Mamo, a jak możemy walczyć ze złem?

Mama Najlepszą bronią przeciwko złu jest po prostu czynienie dobra. Kiedy jesteśmy mili, pomagamy innym i okazujemy dobre serce, zło wokół nas zaczyna znikać, bo nie ma już dla niego miejsca.

Alex Czy zło kiedyś zupełnie zniknie ze świata?

Mama Trudno powiedzieć, czy zniknie całkowicie, bo ludzie zawsze będą popełniać błędy. Jednak dopóki na świecie jest więcej dobrych osób niż tych, które czynią zło, zawsze możemy patrzeć w przyszłość z nadzieją.

JULIA PIOTROWSKA

rozmawia z

JACKIEM OLSZEWSKIM

To nie jest zło,

to jest bieda - czyli powrót do początków

JULIA PIOTROWSKA Pan Chlipalski chciał, żeby było długo...

JACEK OLSZEWSKI Myślę, że będzie

JULIA PIOTROWSKA Dzień dobry.

Pan Jacek Olszewski: Witam serdecznie.

JULIA PIOTROWSKA Bardzo się cieszę, że możemy jeszcze raz przeprowadzić rozmowę.

JACEK OLSZEWSKI Nie wiem, czy nie ostatni.

JULIA PIOTROWSKA Chyba ostatni do **LOGOSU**.

JACEK OLSZEWSKI To tak, jakby piękna przygoda się kończyła.

JULIA PIOTROWSKA Tak. No i mamy ciekawy temat na koniec. Ponieważ jesteśmy po sesji waplewowskiej pod tytułem „Ciemności kryją ziemię”, tematem naszej rozmowy jest **zło**. Różnie odczytywane. I tu jest, myślę, podstawowe pytanie, czy zło istnieje w przyrodzie?

JACEK OLSZEWSKI Podejrzewałem, że pojawi się tematyka z Waplewa. W przyrodzie poza człowiekiem, jak rozumiem?

JULIA PIOTROWSKA Tak.

JACEK OLSZEWSKI Wprawdzie my to też przyroda, ale i zarazem coś więcej niż otaczający nas świat natury, niestety... Jeśli tak stawiasz pytanie, odpowiadam: **nie, nie istnieje!** Pierwszą naszą rozmowę przeprowadziliśmy w temacie BIEDA. I - o ile pamiętam - rozgadałem się wówczas na temat nieszczęść, które spotykają czy to zwierzęta, czy rośliny w relacjach z innymi roślinami lub zwierzętami. I myślę, że to, co możemy potocznie sklasyfikować jako zło, czyli przemoc, brutalność zabijania, zjadanie ciał, a nawet w niektórych przypadkach powolne rozszarpywanie ofiary, bo tak się to czasem odbywa w polowaniach grupowych, nie zasługuje na takie określenie. To wszystko jest los. To jest indywidualny los, indywidualna bieda, czasem też zbiorowa, kiedy katastrofy przyrodnicze się pojawiają, typu pożary, powodzie, nieszczęśliwe dla całej populacji, ale wywoływane przez nieożywione siły natury.

Wprowadzę tu słowa kluczowe, słowa, które będę jeszcze powtarzał dalej. Oto one;

1/ intencjonalność

2/ masowość

W tym, o czym wspomniałem wcześniej, nie znajdziesz intencjonalności masowego mordowania, całkowitego niszczenia wielkich populacji bądź całych gatunków. To raczej przypadek albo indywidualne nieszczęścia. Natomiast to, co ludzie potrafili zrobić przyrodzie, upoważnia do stwierdzenia, że złem w przyrodzie jesteśmy my, ludzie — a raczej ludzkość w swoim obecnym kształcie.

Oczywiście w przyrodzie też gatunki wymierały, kiedy dochodziło do katastrof kosmicznych, nadszycanie epok lodowcowych i ich dość gwałtownego wycofywania się. Czyli zbiorowe, ponadgatunkowe, nieszczęścia były. Ale powtarzam, bez intencji, bez pragnienia niszczenia, świadomego pragnienia niszczenia.

JULIA PIOTROWSKA Gdy takie intencje występują, to co się dzieje?

JACEK OLSZEWSKI Łatwo przedstawić przykłady takiego właśnie rozwoju wydarzeń, w którym człowiek stawał się nieszczęściem dla przyrody. Na przykład historię ptaka dodo, który doznał się szczególnego upamiętnienia literackiego na kartach *Alicji w Krainie Czarów*. Dront dodo był ptakiem nielotnym, to znaczy nie potrafił wzbijać się w powietrze. Żył na odległej od lądów wyspie Mauritius na Oceanie Indyjskim. Mógł sobie pozwolić, mówiąc żartobliwie, na tę nielotność, ponieważ nie miał tam naturalnych wrogów. Kiedy na wyspie pojawili się pierwsi osadnicy, okazało się, że dronty nie bały się ludzi. Jak już wspominałem, nie znały drapieżników, więc lęk nie został im „wdrukowany” i były bardzo łatwe do schwytania. Wystarczyło około stu lat, aby na Mauritiuście całkowicie zniszczyć ten gatunek. W końcu pozostał już tylko na rycinach, w legendach i opowieściach. Historia jak wiele innych. Gdzie pojawia się cywilizowany człowiek, tam zwierzęta i rośliny zaczynają wymierać.



JULIA PIOTROWSKA To przykra historia. Istnieje jeszcze inny przykład takiego działania?

JACEK OLSZEWSKI Drugi przykład, z północy tym razem, skrajnie z półkuli północnej, to 3 Alka olbrzymia. Również gatunek ptaka nielotnego. Zamieszkiwała ona skaliste wyspy na północy, w rejonie Islandii, Norwegii, Szkocji, nawet po stronie amerykańskiej, Grenlandii też. Trudno dostępne dla ssaków, ale z dogodnym dostępem do oceanu i obfitością pożywienia. I żerowały w wodach Atlantyku. Na lądzie alka, jak dodo, poruszała się dość niezgrabnie. Polowała jak pingwin. Jej krótkie skrzydła nie nadawały się do lotu, ale nadawały się do wiosłowania pod wodą. Każda para, która łączyła się na całe życie, składała jedno jajo, oczywiście corocznie, w związku z tym nie groziło im wymieranie. Było ich strasznie dużo. Ocenia się, że populacje tych „pingwinów północy” w XVII wieku jeszcze można było oceniać na dwa miliony sztuk.



JULIA PIOTROWSKA Całkiem sporo.

JACEK OLSZEWSKI Owszem, Ludzie polowali na nie od zawsze, alki były ważnym źródłem pożywienia już dla neandertalczyków, potem dla amerykańskich Indian oraz Inuitów. Ale traktowano je też jako symbol, miały znaczenie kulturowe. Dopiero od XVI wieku, kiedy północny Atlantyk zaczęli penetrować żeglarze europejscy, nastąpił drastyczny spadek ich liczebności, dlatego, że już nie chodziło tylko o mięso, ale u puch, którym wypełniano poduszki. Puch alk był bardzo ceniony, podobnie jak kaczek edredonowych, a po-

nieważ edredony zaczęły zmniejszać swoją liczebność, to alka stała się zwierzęciem szczególnie poszukiwanym.

JULIA PIOTROWSKA Te nieszczęścia miały fatalnie, gdy przychodziło im się konfrontować z dosyć szybko poruszającymi się i uzbrojonymi ludźmi?

JACEK OLSZEWSKI Może przeczytam taki fragment, chyba instrukcji, którą zostawił jakiś marynarz z końca XVIII wieku, wieku Oświecenia... "nie kłopotaj się zabijaniem alk, tylko po prostu wyrwij im pióra na żywcą, potem porzucaj ją ze skórą w połowie nagą i zdartą, żeby powolnie ginęła. Jeżeli chcesz się ogrzać, ponieważ na tych wyspach nie ma drewna, bierzesz kocia i do niego wsadzasz alkę czy dwie, rozpalasz pod nim ogień, a ten ogień całkowicie stworzony jest z samych alk. Ich ciała będąc tłustymi szybko rozpalają płomień."

Człowiek okazał się diabolicznym drapieżnikiem dla alk, gorszym niż orki, niż niedźwiedzie polarne, niż ptaki drapieżne, no bo nie tylko mięso, ale też pióra i eksponaty do muzeów. Poszło szybko. W 1844 roku zostały zabite ostatnie dwa ptaki tego gatunku.



JULIA PIOTROWSKA Więcej takich tragicznych w skutkach historii?

JACEK OLSZEWSKI Było więcej. Trzeci? Posłuchaj opowieści o bizonach. Opisy polowań na bizony w Stanach Zjednoczonych zawdzięczamy choćby Henrykowi Sienkiewiczowi, który brał udział w takich przygodach w czasach budowania kolei transkontynentalnej. Píše tak: "Okazało się, że podczas naszego polowania ubiliśmy 11 sztuk, nie licząc dwóch cieląt. No i tych, które ranne musiały paść prędzej czy później. Pościgaliśmy je wszystkie w jedno miejsce. Ściągnięcie skór i wybranie najprzedniejszych części zajęło tyle czasu, że musieliśmy nocować na polu. Olbrzymią masę mięsa, musieliśmy jednak pozostawić. Żał było patrzeć na te stosy smacznego pożywienia, które miały stać się łupem dzikich zwierząt".

Polowania na bizony w końcu XIX wieku ogromnie przybrały na sile, było kilka motywacji do tego. Wielu mieszkańców chciało pobyc na dzikim zachodzie i przeżyć dreszcz emocji polując na wielkie zwierzęta. Ale prognoza dla bizonów pogarszała się przede wszystkim dlatego że zorientowano się, iż są jedynym źródłem oparcia, nie tylko żywnościowego, ale w ogóle bytowego dla Indian prairii. Rozpoczęło się masowe wybijanie. Przed rozpoczęciem tych rzezi w połowie XIX wieku stada bizonów zarówno w Stanach jak i w Kanadzie szacowano na 13 milionów sztuk. Wędrowały one jesienią na wschód, w stronę lasów, z kolei wiosną na zachód, ku prairiom, włączając się po nich przez całe lato. W latach 1872-74, czyli przez 3 lata, zawodowi strzelcy uzbrojeni w szybkostrzelne karabiny zabili 3 miliony tych zwierząt. Czasami ściągano skóry, czasami nie, bo chodziło o to, żeby odciąć Indian od ich pożywienia, a więc po prostu zabite zwierzęta zostawiano w całości, żeby zgniły. 18 lat później ekspedycja naukowa penetrująca północne obszary prairii USA doliczyła się 200 sztuk tych pięknych zwierząt.

Południowe stada zostały zniszczone całkowicie, natomiast północne nie, zwłaszcza Kanada obeszła się z nimi lepiej. Dzisiaj w kanadyjskich parkach narodowych można ich spotkać często, choć w nieporównywalnej już mniejszej liczbie. Tak, że nie podzielił bizon losu Alki i dronta Dodo, ale przeorało go nieszczęście pochodzące właśnie z planowanego, intencjonalnego zabijania w skali masowej.

JULIA PIOTROWSKA Jeszcze kolejna historia z Zachodu?



JACEK OLSZEWSKI Dobrze. Znów z Ameryki (jakoś ta Ameryka będzie się nam powtarzać). Prawdziwy symbol trzebieńia życia przez człowieka naszej cywilizacji, chyba najbardziej przejmujący. Gołąb wędrowny...

Były sobie gołębie. Siedliskiem tych pięknych ptaków były mieszane lasy liściaste na wschodzie stanów Zjednoczonych. Ich dieta opierała się na owocach buka, dębu, na kasztanach. Żyły tam podczas gniazdowania wiosną, na jednym drzewie bywało zakładanych do kilkuset gniazd. Szczebiotanie przy układaniu do snu było słyszalne z kilku kilometrów. Na zimę wędrowały bardziej na południe i zakładały miejsca noclegowe w południowych Stanach. Każde noclegowisko było tak licznie zamieszkiwane, że ciężar ptaków łamał gałęzie drzew. Jeszcze kilka dekad przed zakończeniem całej historii, gołębi wędrownych było na świecie, jak się ocenia, pięć miliardów sztuk. Uważało się, że jest to najliczniejszy gatunek ptaka na Ziemi.



Umiały żyć tylko w ogromnych koloniach, ich przeloty przestaniały niebo na całe godziny. Ptaki te były bardzo szybkimi wędrowcami, latały z prędkością nawet ponad 95 kilometrów na godzinę. Loty trwały od świtu do zmierzchu, a czasami rozciągały się na kilka dni. W stanie Wisconsin w XVII wieku liczba ptaków gniazdujących szacowana była na 136 milionów. Relacje osadników malują obraz nieba całkowicie zaciemnionego 5a przez ich ogromne stada. Jeden z świadków jeszcze w połowie XIX wieku pisze tak: "Byłem całkowicie zaskoczony, kiedy zobaczyłem miliony gołębi, które wypełniały powietrze całkowicie zasłaniając słońce. Wzbijały się prosto w powietrze w ogromnej masie, która ciągnęła się kilometrami". Największe zaobserwowane stado w Kanadzie w Ontario miało trzy mile szerokości, trzysta mil długości i zakrywało niebo przez czternaście godzin. Pod względem liczebności ustępowały tylko szarańczy, tak mówią

JULIA PIOTROWSKA Co było przyczyną znikania gołębia wędrownego?

JACEK OLSZEWSKI Jedną z przyczyn znikania było wycinanie lasów, które stanowiły jego normalne gniazdowniska, ale drugą przyczyną, tą, która najbardziej nas interesuje przy tym temacie, na który chcesz rozmawiać, to było zachowanie osadników. Kiedy karczowano lasy, gołębie przenosiły się na pola. Kiedy przenosiły się na pola, stawały się wrogami. Stada, owszem, powodowały straty w uprawach, a "odwdzięczając się" osadnicy zaczęli strzelać. Ale to jeszcze nie był koniec. Dopiero kiedy w XIX wieku do akcji weszli zawodowcy, rozpoczęła się prawdziwe masowe mordy. Gołębie chwytało przy pomocy pułapek z przynętą. Zabijano w miejscach lęgowych. Młode wybijano z gniazd przy pomocy długich kijów, a pod drzewami umieszczano garnki z płonącej siarką, aby opary truciły ptaki. Strzelano do nich z dział, strącając jednocześnie dziesiątki gniazda jednym strzałem. Setki tysięcy martwych szły na sprzedaż na rynku, gdzie zresztą ich cena była bardzo niska. Na przykład w stanie Michigan przez blisko pięć miesięcy każdego dnia zabijano około pięćdziesiąt tysięcy ptaków. Zabijane były też dla zabawy. Zgodnie z relacjami była to systematyczna, przemysłowa wręcz rzeź, obóz zagłady w ruchu. Nawet jeżeli niektóre ptaki przeżyły, to już nie miały warunków do rozrodu. Po 1900 roku na wolności nie żył już ani jeden. Zniknął ptak, który jeszcze w latach 80-tych XIX wieku niezliczonymi stadami przelatywał przez Amerykę Północną.



Potem nastąpiło ocknięcie się. Przez kilka lat amerykańscy ornitolodzy próbowali znaleźć żywe ptaki i ratować populację. Proponowano każdemu, kto znajdzie gniazdo lub kolonię gołębi tysiąc pięćset dolarów, ówczesnych, jeszcze mających pokrycie w złocie. Wszelkie poszukiwania były jednak bezskuteczne. W 1990 umarły ostatnie dwa samce, a parę lat później ostatnia gołębicą. I tak skończyła się historia gołębia wędrownego. Wzorcowa zagłada.

JULIA PIOTROWSKA Czy gdzieś poza Ameryką jeszcze coś takiego się działo, czy ona jest po prostu specjalnie nastawiona na kreowanie zła w przyrodzie?

JACEK OLSZEWSKI W pewnym sensie jakoś tak to dziwnie wygląda, bo jak szerzej policzymy, to i Alka otarła się o Amerykę trochę. Ale jest też tragiczny przykład z innej części świata. Otóż w latach sześćdziesiątych w Chinach, władze Chińskiej Republiki Ludowej zaczęły zachęcać ludzi (aby podwyższyć plony) do tępienia wrogów rolnika, czyli wróble, 6 sznurów, komarów i much. Zwłaszcza jakaś wielka nienawiść rozwinęła się w stosunku do wróble, obwinianych o zjadanie ziarna. Ptaki zabijano lub odstraszano tak długo, aż padały z wyczerpania. Wyobraź sobie takie wspólne działania ludzi na bardzo gęsto zaludnionej Nizinie Chińskiej. Jakież był tutaj niezwykły efekt masowości i posłuszeństwo rozkazom partii! Jeżeli koło jednego gospodarstwa gdzieś tam się zgromadziły się wróble, gospodarz je płoszył, one uciekały do innego, tamten też je płoszył, kolejny również - po prostu jedność działania niczym w armii w czasie wojny.

Tępione wróble szukały schronienia, jest taka anegdota o tym, jak na terenie ambasady polskiej w Pekinie, Polacy odmówili Chińczykom wejścia na teren placówki, no to została ona otoczona tłumem, który walił w bębny i powiewał kolorowymi szmatami, strasząc wróble, do tego stopnia, że po dwóch dniach personel szuflami usuwał martwe ptaki z ziemi. Nie darowano żadnemu.

Aby oszczędzić amunicję, robiono dużo hałasu, gano za wróblami, a te krótkodystansowe ptaszki padały z wycieńczenia, ewentualnie je dobijano. Lud Chin wspólnie walczył z wrogiem ludu. Martwe ptaki znoszono urzędnikom, którzy odnotowywali, kto najbardziej przysłużył się ojczyźnie. Do wojny zaangażowano cały kraj. Chińczycy, wyobraź sobie, biegali po polach z kijami, garnkami, hałasowali i ścigali wróble.



Martwych było tak wiele, że usuwano je szuflami i wywożono ciężarówkami. 6a Odtrąbiono zwycięstwo, bo wkrótce zebrano obfite plony. Chińczycy wygrali bitwę.

Ale jeszcze nie wiedzieli, że przegrali wojnę. Minął rok, a decyzja przyniosła rezultaty odwrotne. Brak wróbli sprawił, że populacja szkodliwych owadów, takich jak szarańcza, po prostu eksplodowała i wkrótce zniszczyła znaczną część upraw w kraju. W niektórych okolicach zbiory było o połowę niższe niż zwykle. Efekt- nastąpił wielki głód, który pochłonął miliony ofiar. Niektórzy badacze twierdzą, że zmarło nawet około 40 milionów Chińczyków. W końcu akcję zabijania ptaków odwołano, a Chiny musiały zaimportować ze Związku Radzieckiego około 250 tys. wróbli, by uzupełnić populację.

JULIA PIOTROWSKA To wbrew pozorom mniej tragiczne zakończenie.

JACEK OLSZEWSKI Tak, ta historia zakończyła się może mniej dramatycznie. Wróbel jest eurybiontem- to nie jest zwierzę endemiczne jednego kontynentu i na szczęście, jako gatunek, ma dużą wytrwałość w pokonywaniu przeszkód. W każdych prawie warunkach może żyć, więc populację łatwo można było uzupełnić.

Takie to są nasze, człowieka cywilizowanego, spotkania z przyrodą, które dziś zaprezentowałem, żeby się zamyślić i żeby się zatrwożyć, dlatego że znamy historie, które się działy w czasie II Wojny Światowej: obozy koncentracyjne, obozy zagłady, masowe egzekucje. Świat zwierząt też to poznał. Dzięki nam.

JULIA PIOTROWSKA Teraz może drugi świat, jak to jest u roślin? Jak to jest z nami i z roślinami?

JACEK OLSZEWSKI Bywa różnie, bywa bardzo ciepło, bywa pogardliwie lub nienawistnie. W tym świecie też oddzielmy "Biedę", czyli walkę konkurencyjną, bo w przyrodzie cały czas jest walka konkurencyjna, jedne rośliny wypierają inne. Oczywiście też istnieją katastrofy naturalne, o których wspomniałem takie jak pożary, ale sposobu niszczenia, charakterystycznego dla kontaktów z ludźmi, takiego intencjonalnego, masowego niszczenia nie odnajdziesz nawet w warunkach katastrofy.

Popatrz na nasze otoczenie. Jako kandydata na przyrodnika uczono mnie, że w pozyskiwaniu drewna z lasów należy odchodzić od tak zwanych zrębów zupełnych, metody wyjątkowo inwazyjnej dla roślinności. Polega ona na tym, że na wyznaczonym obszarze na przykład pół kilometra kwadratowego wycinasz wszystko, co tam jest, drzewa zabierasz, resztę, na przykład, palisz. A bardziej troskliwy sposób gospodarowania powinien polegać na wybiórczym pozyskiwaniu drzew, wyciąganiu ich w taki sposób, żeby nie wylesiać całkowicie tego terenu, tylko na przykład wyjąć jakieś 25%, te egzemplarze, które są najcenniejsze, tak mówiono. Minęło bardzo dużo lat i zrobiliśmy coś, czego ewolucja nie robi, a mianowicie cofnęliśmy się, przynajmniej tak to obserwuję. To, co miało być przeżytkiem, wróciło jako zasada.

W rejonie, gdzie przebywam często pod Warszawą, zrębów zupełnych na całkiem niemałych obszarach obserwuję coraz więcej. Dawniej pracowali robotnicy z piłami mechanicznymi i operatorzy ciągników. Chociaż część roślin runa mogła ocaleć. Teraz przyjeżdża wielka maszyna, 7 taki kombajn leśny z jednym operatorem, który rozgniata glebę, wyrывa swoimi ciężkimi gąsienicami ziemię i wycina wszystko właściwie jak leci. Ma takie wielkie szczypce, które w chwilę ucinają drzewo, odkładają na bok, zostaje puste pole. Jak klepisko.

JULIA PIOTROWSKA Nie dałoby rady uniknąć takich zniszczeń?

JACEK OLSZEWSKI Można, ale to byłoby kosztowniejsze i trwało dłużej. Jednakże te lasy podmiejskie mają charakter rekreacyjny, nie powinny być wycinane w tak inwazyjny sposób, a jeżeli już trochę drewna trzeba pozyskać, to w taki sposób, żeby nie rujnować krajobrazu. Co dziwniejsze, ostatnia z tych wycinek odbywała się półtora roku temu w sezonie letnim, a wiadomo, że od 1 marca do końca października obowiązuje moratorium na wycinanie drzew ze względu na lęgi ptasie. Gdybym ja tak chciał wyciąć w tym czasie drzewo, a sąsiad o modnym dzisiaj sposobie oglądania świata, czyli sygnalista tak zwany, doniósłby, gdzie trzeba, miałbym poważne kłopoty: jak to, ośmielam się wyciąć drzewo stwarzając zagrożenie dla skrzydlaków?

Ale ci, którzy zarządzili letnią wycinę, jakoś nie mieli tych problemów. I domyślam się, dlaczego, bo pewnie uzasadnili to Ważnym Interesem Społecznym. To taki standardowy motyw uzasadniania. Mój interes nie jest społeczny, jest indywidualny, ale ich - jest interesem społecznym. Nie wiem wprawdzie, czym był uzasadniony ten interes i czy on był rzeczywiście społeczny. Może był to interes urzędowy po prostu, a może interes urzędników, nie wiem i oczywiście się nie dowiem, dlaczego taka zapadła decyzja. Może ptaki na moim drzewie są bardziej wartościowymi ptakami niż ptaki na drzewach w państwowym lesie?

Można też było usłyszeć, że były jakieś ogromne kontrakty zawierane na dostarczenie za granicę dużych ilości drewna. Nie wiem. W każdym razie po takiej ścinie nic nie zostaje. Te wszystkie drobne rośliny, które żyły osłonięte drzewami, krzewami, po prostu zginą. A i zwierzęta, które z nimi były stowarzyszone, znikną. Czyli jest to taki dziwny, strasznie drapieżny sposób zdobywania drewna.

JULIA PIOTROWSKA Co jeszcze rzuca się w oczy odwiedzając teraz lasy?

JACEK OLSZEWSKI Widzę totalną nieobecność - w znanych mi lasach- drzew starych. Teoretycznie gdzieś się tam je w czasie zrębów pozostawia, ale ja tego nie zaobserwowałem. Tydzień temu jechałem pociągiem na trasie Warszawa-Szczecin. Pociąg przebiegł przez Puszcę Notecką w poprzek, pomiędzy stacjami Wronki i Krzyż, w Wielkopolsce. Przez całą drogę 25 km, jak zmierzyłem starannie, nie widziałem ani jednego starego drzewa, ani z jednego okna, ani z drugiego, a ciągle moja głowa kręciła się w lewo i w prawo, bo uparłem się, że sprawdzę, czy może "dziesięciu sprawiedliwych w tej Sodomie" wypatrzę; nic z tego 😊. Potem kolejny kawałek drogi, już na terenie zachodniopomorskiego, pociąg wjechał w lasy, koło miejscowości Dobiegniew, to samo. Są albo nasadzenia, albo drągowiny, ale drzewa naprawdę grubego, a wiem, jak one wyglądają, nie byłem w stanie spostrzec 😞.

JULIA PIOTROWSKA Do czego możnaby było to porównać?

JACEK OLSZEWSKI To jest tak, jakby w populacji ludzkiej zostawić tylko młodych, ewentualnie do 50 lat, a resztę po prostu wytrzebić. Nie jest to przyjazne. Tak jak starzy ludzie mają pewnego rodzaju mądrość, tak i stare drzewa mają ogromne zasoby wiedzy. Przechowują w swoich ciałach najróżniejsze owady w niejednych stadiach 8 rozwojowych, całą masę pajęczaków i innych stworków. Oceniają różnorodność różnych drobniejszych roślin. Karmią sobą grzyby. Są domami dla ptaków. Dają dzieciom robotę, żeby wykupywały dziuple, nie tylko na własne gniazda.

Więc to wszystko jest mocno nienaturalne. Widać bezwzględność i jedyne kryterium: zysku. I to, żeby zysku dalekosiężnego, ale tu widać triumf krótkowzrocznego zysku, na dziś.

JULIA PIOTROWSKA W innych krajach też takie sytuacje mają miejsce?

JACEK OLSZEWSKI Tak, poza naszym krajem dzieją się nieszczęścia świata roślinności wyższego rzędu. Przywołam puszcę amazońską, która jest niszczone w straszliwy sposób. Tam odbywa się wielkoskalowa zagłada. Odbywa się z trzech powodów.

Pierwszy – to konieczność pozyskania drewna, które jest ważnym towarem eksportowym dla Brazylii. Te wycinki, legalne lub nielegalne, są ogromne. To, co obserwowałem tu, w Polsce, w postaci maszyny zwanej harvesterem, która drzewa wycina i odkłada tak jak zapalki, w Brazylii miewa większą skalę. Ogromne dwie maszyny połączone poprzecznie supergrubą stalową liną, jadą przez puszcę, a lina wywraca lub przecina wszystko co rośnie. Oczywiście nie wszystko się następnie zabierane, bo chodzi o gatunki cenniejsze, więc te, które są mniej cenne, jak te bizony na prerii- leżą i gniją.

Drugi - odkrycie, że pod ziemią są duże zasoby mineralne. W takiej sytuacji trzeba do gołej ziemi zniszczyć te lasy, bo pod spodem jest na przykład srebro, miedź, a może ropa naftowa. Czyli całkowita degradacja środowiska, mówiąc eufemistycznie, a całkowita zagłada świata ożywionego, mówiąc wprost.

Trzeci – to rolnictwo. Palenie lasów w celu uzyskania nowych terenów uprawnych po to, żeby założyć na nich plantacje soi czy fermy hodowlane bydła- te ostatnie należą zresztą głównie do wielkich koncernów amerykańskich. 9

Jeżeli wytniemy fragment lasu, który ma na przykład 0,5 km na 0,5 km, to on się odnowi z zalesionych boków sąsiednich. Ale jeżeli będziemy robić taki raz za razem, raz za razem i wetniemy się w puszcze na głębokość 10 km, to centrum tego obszaru nie będzie miało się z czego odnawiać. To jest bezpowrotne niszczenie lasów, które 6 mln lat temu powstawały na tych terenach. I nie wiadomo, ile by było trzeba, żeby się odnowiły z powrotem. Skala dekapitacji jest taka, że podobno w ciągu ostatnich 40 lat wycięto obszar Puszczy Amazońskiej równy 3-krotnej powierzchni Polski. Polska ma 312 tys. km² ... Na razie padło 15% całej Puszczy Amazońskiej, ale jesteśmy na dobrej drodze do szybkiego zwiększenia tego procentu...

Tak by wyglądało, jeżeli chodzi o rośliny i naszą zbiorową "współpracę" z nimi, o przeprowadzanie zagłady tych najbardziej wszechstronnych i skomplikowanych ekosystemów lądowych, jakimi są lasy Ziemi. Jeżeli to nie jest kumulacja zła w stosunku do tych społeczności roślinnych i stowarzyszonych z nimi zwierzęcych, to co to jest?

JULIA PIOTROWSKA Czy w takim razie człowiek jest z natury dobry czy zły?

JACEK OLSZEWSKI Z tego, co opisałem, wynikałoby, że zły.

JULIA PIOTROWSKA No właśnie...

JACEK OLSZEWSKI Potwornie zły, prawda? A z drugiej strony jakoś tak jest, że siedzę teraz, rozmawiam z Tobą i nie wydajesz mi się osobą złą. Jak popatrzę na Twoich kolegów i koleżanki w klasie, też jakoś nikt mi się taki nie wydaje. A nawet w naszej kadrze nauczycielskiej, ze mną oczywiście 😊 też nie stwierdzam, żeby tu byli ludzie źli. W moim bloku, to jest taki dwupiętrowy dom, gdzie zamieszkanych jest ponad trzydzieści mieszkań, właściwie wszyscy lokatorzy wydają się dobrymi ludźmi. To jak to jest? Akurat wczoraj byłem w teatrze na interpretacji Mistrza i Małgorzaty - i ten Ha-Nocri, który wszystkich widział dobrymi ludźmi... Wygląda na to, że nie ma złych ludzi.

JULIA PIOTROWSKA No to jak to jest? Dobrzy ludzie, a czynią tyle zła na ziemi?

JACEK OLSZEWSKI Właśnie. No to spróbujmy się z tym zmierzyć. Wydaje mi się, że kluczem do wszystkich wyjaśnień, dlaczego tak jest, dlaczego cokolwiek jest, jeżeli chodzi o człowieka, jest podejście ewolucyjne. Bez tego nic się nie zobaczy. Ja bym porównał działalność biologów ewolucyjnych z działalnością sędziów śledczych w przypadku zbrodni. W sądownictwie jest taka reguła: szukając sprawcy szukamy wprawdzie dowodów, ale szukamy przede wszystkim motywu.

JULIA PIOTROWSKA Dlaczego?

JACEK OLSZEWSKI Komu to, co się stało, było na rękę, ten ma motyw! Rzymianie ukuli z tego nawet formułę prawniczą: *is fecit qui prodest*, co znaczy, że ten jest winien, kto miał interes w zbrodni. Jeśli znajdziemy przełożenie motywacji, czy inaczej interesu, na zdarzenie, wtedy możemy określić sprawcę.

Próbując zrobić to samo na gruncie ewolucji człowieka, popatrzymy, jak dawniej wyglądało życie nasze, o czym już próbowałem mówić w rozmowie na temat filozofii przyrody, a może innym odcinku naszej długiej współpracy. Jak wyglądało nasze życie jako ludzi w pierwotnej fazie naszego gatunkowego istnienia. Dlaczego to ważne? Bo człowiek należy do gatunków, które mają strukturę



społeczną opartą na hierarchii. Nie taką, jaką mają gazy na sawannie czy antylopy, nie taką, jaką mają bizona wspomniane przeze mnie, nie taką jak alki olbrzymie, które po prostu obok siebie polowały, nie przeszkadzając sobie wzajemnie - tylko właśnie społeczną strukturę hierarchiczną. Dodam, że morskim przykładem takiej struktury, jaką tworzą antylopy czy bizona lub stado szpaków przed odlotem, jest ławica ryb, która nie ma swoich 10 przywódców, porusza się jakby sama z siebie, o czym można piękne filmy zobaczyć, jak ona wędruje w całości, przelewa się, jak gdyby bezcieleśnie, w przypadkowym kierunku. Natomiast psy, licaony afrykańskie, hieny, wilki, szakale czy słonie mają zupełnie inną strukturę. Tam jest hierarchia. U szympanów i goryli również. I u człowieka też jest.

JULIA PIOTROWSKA Z czego to wynika?

JACEK OLSZEWSKI Z tego, że u tych wszystkich zwierząt żyjących w hierarchiach, które wymieniałem, istnieje



zjawisko silnej osobistej rozpoznawalności, a zatem i potencjalnej więzi, której u bizonów, antylop i w ławicy ryb nie znajdziemy. U ptaków też osobista więź kwitnie. Niejednokrotnie wiązanie się samca z samicą jest długotrwałe. Nawet nie na jeden rok, na dłużej. A u żurawi, kruków, gęsi, łabędzi - na całe życie. To oznacza, że trzeba niezawodnie rozpoznawać kogoś, z kim się złączyło, po czymś go trzeba zidentyfikować.

JULIA PIOTROWSKA Czyli są stada - i stada...?

JACEK OLSZEWSKI Tak, to jest udowodnione. Będę odnosił się do książki, która nosi bardzo przyjazny naszemu tematowi tytuł *Tak zwane zło*. To słynna książka Konrada Lorenza, etologa, czyli specjalisty od zachowania zwierząt, który pięknie i bardzo błyskotliwie w tej książce udowodnił, że tylko u zwierząt, które mają wysoki poziom agresji wewnątrzgatunkowej, może wytworzyć się osobista więź. Bizona nie mają agresji wewnątrzgatunkowej. Łązą koło siebie i po prostu szczypią trawę, tak jak krowy na łące. Nie konkurują o pożywienie. Nie biją się, nie przepędzają z tego powodu, że ktoś inny je obok nich. I nie potrafią się pokochać z wzajemnością...

Natomiast tam, gdzie jest konkurencja wewnątrzgatunkowa, jest ona ściśle sprzężona z hierarchią. I vice versa, no bo jak można stworzyć hierarchię nie konkurując ze sobą? Musi być ten, który jest przywódcą stada, muszą być ci o niższej pozycji i jeszcze niższej. W którymś momencie, też o tym mówiliśmy, w "Biedzie", jak się taki przywódca stada zestarzeje, to ci, którzy są trochę niżej, mogą próbować przejąć jego rolę, ale nie przejmą dobrowolnie - trzeba by go pokonać. Zatem gotowość do walki, pogotowie agresywności jest silne.

Powtórzę przesłankę rozumowania: agresja wewnątrzgatunkowa jest charakterystyczna dla wszelkich gatunków o strukturze społecznej hierarchicznej. A jednocześnie wymaga ukształtowania doskonałych hamulców. Wewnątrz grupy/wspólnoty nie może się ona na co dzień przejawiać, bo inaczej wspólnota sama się zniszczy. Połączenie ognia z wodą dokonało się w taki sposób, że agresja przerzucona została na zewnątrz. Czyli wewnętrzna zawartość grupy jest skorelowana z uwalnianiem się zasobu agresji w kierunku innych grup tego samego gatunku, grup, które są umiejscowione na zewnątrz. Tak się to odbywa.

Czyli poziom agresji przerzuca się z wnętrza organizacji na zewnątrz organizacji. To jest bardzo ważne, bo ten ewolucyjny imperatyw dużo nam nabruździł w ostatnich tysiącach lat.

JULIA PIOTROWSKA Czym jest w takim razie więź?

JACEK OLSZEWSKI Ach, więź, no tak, już wyjaśniam. Wiesz, jak szczepi się drzewa? W dziką podkładkę (dziczkę), czyli na przykład gałąź lub



pień słabo owocującej, ale silnej, mrozoodpornej rośliny wszczepia się tak zwany zraz, czyli gałązkę odmiany szlachetnej, która wytrzymałość ma mniejszą, ale zapewni obfite owocowanie. I masz dwa w jednym. Osobista więź jest "zrazem" wszczepionym w "dziczkę" agresji. Może zatem istnieć agresja wewnątrzgatunkowa bez nawiązania silnej osobistej więzi, ale nie może powstać silna osobista więź bez agresji wewnątrzgatunkowej!

Gatunek homo sapiens jest spajany wyjątkowo silną więzią osobistą. Być może powodowane jest to długim czasem opieki nad dziećmi. Mamy jako ludzie bardzo długie dzieciństwo i jakby coraz dłuższe. Pies, który żyje 12 lat, po pierwszym roku jest psem dorosłym. Może sobie prowadzić normalne życie jakie chce. Wilki w zasadzie też. Słonie już mniej. Samica słonia afrykańskiego dojrzewająca około 12 roku życia (słoń żyje 80 lat, jak człowiek), też już jest samodzielna- może urodzić słońtątko i w grupie tych słonic, które tworzą stado, znajdzie swoje miejsce. U nas jest trochę inaczej. Dziewczynki mogą zacząć też dojrzewać w wieku lat 12, ale są całkowicie niezdolne do samodzielnego życia społecznego w tym wieku. Musi upłynąć jeszcze przynajmniej 6, 8 lat, a dzisiaj, jeśli chcemy mieć szanse na dobrą społeczną pozycję, to i kolejne dwanaście. Właściwie to jest tak, że 1/4 życia człowieka to jest niesamodzielny czas. A wiadomo, że jeżeli chcemy dać swojemu dziecku większe szanse... Stop, stop, cofamy się ! Wracamy do źródła. Bardzo daleko wstecz 😊

Julko, bardzo, bardzo dawno temu kim byliśmy?

JULIA PIOTROWSKA Łowcami i zbieraczami.

JACEK OLSZEWSKI O to chodzi, dziękuję. Takie życie nam towarzyszyło przez pierwsze 100 tysięcy lat naszej historii. Na to zostaliśmy zaprogramowani. W takim życiu, żeby kobieta z dzieckiem mogła przeżyć, potrzebna była jej pomoc. Pomoc męska. Zresztą wiadomo, że jeżeli jedna osoba opiekuje się dzieckiem, bezpieczeństwo jest niższe, niż gdy tych osób jest dwoje. Ale żeby dwoje się opiekowało, to oboje **muszą** **chcieć** się opiekować. W przypadku kobiety nie będzie to problemem, ale w przypadku mężczyzny będzie. Jaki on ma interes w tym, żeby się opiekować dzieckiem i kobietą? Pamiętaj, jesteśmy w tej rozmowie na pierwotnym etapie naszego rozwoju. Na razie jest siła płci i nic więcej. Więc dlaczego on ma poświęcać się dla takiego małego oseska?

JULIA PIOTROWSKA No właśnie, dlaczego?

JACEK OLSZEWSKI Wejdźmy w śledcze myślenie ewolucyjne. Idąc tym torem, pomyślmy: dobrze byłoby stworzyć taki mechanizm, żeby kobietę i mężczyznę łączyć na dłużej. No ale żeby łączyć ich na dłużej, trzeba zapewnić im zdolność rozpoznawania się od wszystkich innych i w każdej chwili.

I tutaj jest pewien problem, dlatego, że psy i likaony, wilki, one żyją węchem - rozpoznają się po zapachu. Węch jest zresztą absolutnie dominującym zmysłem u ogromnej większości ssaków. Nie ma dwóch takich samych zapachów. Jeśli wilk i 11 wilczyca przywiązali się do swojej woni, to ona nimi kieruje. Kieruje cały czas, póki trwa. A tymczasem małpy człekokształtne utraciły prymat węchu nad zmysłem wzroku. Te małpy - mówię nie o tych nawet, które żyją w lasach, ale o tych naszych dalekich przodkach, którzy biegali po sawannach milion, dwa miliony lat temu - dla nich wzrok, stał się najważniejszym ze zmysłów. Tak musiało się stać - bo po co ta postawa wyprostowana się wykształciła? Dlatego, że premiowana była. Na otwartym terenie i niebezpieczeństwo i korzyść najłatwiej uchwycić wzrokiem.

Zatem ta kobieta i ten mężczyzna musieli się rozpoznawać od jednego rzutu oka. A co jest w człowieku takiego, co jest najbardziej indywidualne? Przegub? Obojczyk?

JULIA PIOTROWSKA Twarz.

JACEK OLSZEWSKI Jasne! Twarz! Nasza twarz jest, w porównaniu nawet do małp człekokształtnych wyposażona w ogromne możliwości mimiczne. Możesz robić z nią najróżniejsze wygibasy, które wynikają z ilości mięśni i ich położenia względem siebie. Twarz jest niepowtarzalna. Tak

jak dla psa czy wilka woń jest niepowtarzalna, dla nas przede wszystkim jest niepowtarzalna twarz. Czyli to jest ten element, który może być podstawą błyskawicznego rozróżniania jednostek i wiązania się z konkretną osobą. Mało się o tym mówi, ale człowiek jest jedynym gatunkiem, przynajmniej wśród kręgowców, którzy **może** uprawiać miłość twarzą w twarz. Patrząc oczami w oczy. Żadne zwierzęta tak nie mają. A ponieważ są to zwykle poważne, mocne przeżycia, jeżeli zostaną powiązane z twarzą, to stworzą (zwróć uwagę na podobieństwo słów: twarz- tworzyć) mechanizm, który może na dłużej utrzymać więź. Tak twierdzą ewolucjoniści.

No dobra, więc to już wiemy, a ponieważ mamy bardzo duże możliwości kreowania wyjątkowej więzi, a także nawiązywania jej na długo, to niestety nasza agresja wewnątrzgatunkowa niewątpliwie też jest mocna. Widać na przykład często, że gdy się chłopak zakocha z wzajemnością, to zaczyna zachowywać się niczym chuligan na motocyklu. Wszystko na zewnątrz mu przeszkadza, nagle się robi kowbojem, staje się zaczepny i tak dalej. Zresztą dziewczyny też zwykle wtedy zyskują dużo mocy na zewnątrz kierowanej. To jest dość ważne, bo pokazuje, że może nawet bardziej niż inne gatunki małp, jesteśmy skierowani potencjalnie agresywnie wobec tych, którzy nie są blisko z nami.

Ale przed nami kolejny aspekt, wynikający z tego cofnięcia się o 100 tysięcy lat: jak żył homo sapiens? Czy żył w miastach? Czy żył w wioskach? Czy żył w jakichś obozach wielkich? Nie, to były rodzinne grupy, które wędrowały.

JULIA PIOTROWSKA Ile taka grupa mogła mieć członków?

JACEK OLSZEWSKI Nie do końca wiadomo, przypuszczalnie mężczyzn mogło być około dziesięciu, 12 trochę kobiet, trochę dzieci. Z badań jednoznacznie wynika - to były niewielkie grupy. W niewielkich grupach wszystkich można poznać osobiście i to poznać dobrze. Wasza klasa, może o innej strukturze, jest podobnej wielkości i już są grupki. Ale kilkunastu dorosłych uczestników może stworzyć harmonijnie współpracującą grupę społeczną, taką, jaką była ta porozgałęziana nieco pierwotna rodzina.

Ci, którzy w ten sposób funkcjonowali, mieli interes w tym, żeby względem siebie, do wewnątrz, nie przejawiać agresji. Uwolniona, mogłaby doprowadzić do rozpadu grupy, osłabienia jej, a nawet samotności, kończącej się brakiem możliwości sprostania niebezpieczeństwom. Dlatego otwarta agresja została zarezerwowana dla ewentualnego spotykania się z innymi grupami, które mogły być rywalizujące czy wrogie.

JULIA PIOTROWSKA I to wystarcza do zablokowania agresji?

JACEK OLSZEWSKI Nie, to nie wystarcza do zablokowania agresji, czas na to, by przedstawić czynnik, który działał przeciwko hamowaniu agresji wewnątrzgatunkowej, a tym czynnikiem jest fakt, że my, ludzie, jesteśmy pozbawieni naturalnych narzędzi morderczych, w takim sensie, że nie mamy ani kłów tygrysa, psa czy wilka, nie mamy pazurów rysia, nie mamy dziobów orła czy sokoła.

JULIA PIOTROWSKA O tym też mówiliśmy w poprzedniej rozmowie o Hamlecie

JACEK OLSZEWSKI Tak! Niektórzy antropolodzy próbowali sugerować, że nasi przodkowie, ci, którzy żyli z łowów na grubego zwierza, pozostawili ludzkości w spadku groźne dziedzictwo drapieżniczej natury. Nic bardziej mylnego. W rzeczywistości wielka to szkoda, że człowiek nie ma takiej natury. Większość niebezpieczeństw zagrażających człowiekowi wynika z tego, że jest on z natury stosunkowo niewinnym wszystkożercą, niemającym naturalnej broni. W związku z tym ewolucja nie zadbała o to, żeby dać mu takie mechanizmy powstrzymujące, o których mówiliśmy w przypadku walki psów czy wilków, które hamują się same z siebie przed nadużywaniem siły przeciwko współplemięńcom. To prawda, że lwy i wilki zabijają czasem osobniki własnego gatunku, które wtargną na ich teren, ale w prehistorii człowieka wysoko rozwinięte mechanizmy hamujące nagłe zabójstwa były zbędne, gdyż rzecz taka i tak nie była możliwa. Czym mogliśmy uśmiercić człowieka? Paznokciami? Zębami? Duszeniem? On mógł nam oddać tym samym. U praw-

dziwnych drapieżników, "urodzonych morderców", ofiara ma wszelkie możliwości apelować gestami pokory do tkwiących głęboko zahamowań przed agresją. U słabo uzbrojonego zwierzęcia nie działał zaś żaden czynnik selekcji wiodący do wyhodowania oporów przed użyciem przemocy. Dopiero wynalezienie sztucznej broni zmieniło sytuację. Istnieje opis synogarlicy, takiego gołąbka niewielkiego, symbolu wszelkiej pokojowości, która potrafiła bez żadnych zahamowań zamęczyć na śmierć w klatce ptaka sobie podobnego. Można sobie znakomicie wyobrazić, co działałoby się, gdyby jakaś igraszka natury obdarzyła nagle tę synogarlicę dziobem kruka. Położenie takiego dziwoląga zdaje się dokładnie odpowiadać sytuacji człowieka, który właśnie wynalazł użycie ostrego kamienia jako narzędzia do zadawania ciosów. Na myśl o istocie odznaczającego się popędlivością i pobudliwością szympansa wymachującego kamienną siekierą ogarnia nas przerażenie. - pisze Konrad Lorenz

JULIA PIOTROWSKA Rzeczywiście przerażające!

JACEK OLSZEWSKI Dopiero wynalezienie sztucznej broni stworzyło zupełnie nowe możliwości zabijania. Przy braku ewolucyjnych, fizjologicznych hamulców nastąpiło całkowite zachwianie uprzednio istniejącej równowagi między zahamowaniami przed agresją, która to agresja jest u ludzi duża, a zdolnością zabijania współplemieńców. Człowiek znalazł się właśnie w takim położeniu, w jakim byłby ten gołąb, którego okrutna igraszka natury obdarzyła dziobem kruka.

Chociaż rośnie w nas poczucie moralności i zahamowanie przed zabijaniem (znacznie wzrosło ono od czasów, kiedy wynaleziono kamienną broń), to jednak możliwości zabijania zwiększały się o wiele szybciej. Technika oderwała od siebie oglądane skutki czynów i przyczynę tych czynów. Jeżeli strzelasz z łuku na odległość np. 50 metrów i widzisz ofiarę, która pada, nie widzisz szczegółów. Widzisz tylko, że pada. Jeżeli strzelasz z karabinu na przykład, jak pisze poetycko Lorenz, "skutki czynów nie rozdzierają bezpośrednio serca sprawcy. Odległość, na którą działa broń palna, chroni zabijającego przed sytuacjami bodźcowymi, które w innym przypadku uzmysłowiłyby mu z bliska ohydne konsekwencje jego czynów. Głębokie uczuciowe warstwy naszej duszy po prostu już nie przyjmują do wiadomości tego, że zgięcie palca wskazującego spowoduje rozerwanie wnętrza innego człowieka. Tylko przez osłanianie naszych uczuć przed wszelkimi skutkami własnych czynów możliwe się stało, że człowiek niezdolny niemal wymierzyć dziecku klapsa zupełnie łatwo zdobywa się na naciśnięcie guzika wyzwalającego broń rakietową, bądź automat zrzucający bomby, skazując tym setki godnych szacunku ludzi na straszliwą śmierć w płomieniach. Bombowych nalotów w ostatniej wojnie dokonywali dobrzy, przyzwoici, porządni ojcowie rodzin".

JULIA PIOTROWSKA Potworny fakt.

JACEK OLSZEWSKI Dzisiaj już prawie niewiarygodny! A teraz druga sytuacja, która zmieniła nas. Jeszcze groźniejsza. Stało się tak, że liczba ludności na Ziemi zaczęła rosnąć, najpierw wolno, ale potem znacznie szybciej. W związku z tym zagęszczeniem ludności nie było już miejsca na poszczególne wędrujące rodziny, zaczęły się tworzyć osady. I mogły one na przykład agresywnie do innej osady się odnosić. Tak podobno było do niedawna na Nowej Gwinei, wyspie górzystej, która ma szereg kotlin oddzielonych od siebie. W każdej z takich kotlin żyła oddzielona od innych grupa plemienna Papuasów, 13 która traktowała tych z innych kotlin jako intruzów. Jak ktoś tam się dostał niechcący na ich teren, padał ofiarą przemocy- została mu odcinana głowa, tak, Papuasi byli łowcami głów. W ich języku słowo "człowiek" oznaczało mieszkańców ich własnej kotliny śródgórskiej.

Zatem - być może -do któregoś momentu wspólna osada była repliką wędrującej wspólnoty rodzinnej. Może tak było na początku, ale potem, w związku z dalszym zwiększaniem się liczby ludności, zaczęła się komasacja. Organizowanie już znacznie większych grup ludzi wokół władców: książąt z, czasem królów, a potem wielkich państw, gdzie nasze przyzwyczajenie wielotysięcletnie do funkcjonowania w małej grupie musiało ostatecznie ustąpić prawom dużej organizacji.

Ale to rozwiązanie nie okazało się właściwe dla nas. To w ogóle nie jest zgodne z fizjologią i socjologią człowieka, które kształtowały się w warunkach życia w epoce jeszcze przedlodowcowej. Zawsze, od naszych początków, żyliśmy w mikrospołecznościach.

Mamy więc 10-15 dorosłych osób w takiej grupie i musimy względem nich być lojalni. Dlaczego? Dlatego, że ci nieliczni mężczyźni w takiej grupie z konieczności muszą tworzyć wspólnotę, „stać się przyjaciółmi” w najprawdziwszym słowa tego znaczeniu. Każdy niejednokrotnie drugiemu ratował na polowaniach życie, a nawet jeśli istniało tak jak między chłopcami w szkole, jakieś współzawodnictwo, sprawy te schodziły na plan dalszy w obliczu stałej konieczności wspólnej obrony” przed wrogimi czy rywalizującymi grupami. Walki z otoczeniem o byt tej grupy były tak częste, że wszystkie popędy wewnątrzgrupowej agresji znajdowały w pełni zaspokojenie w kierowaniu się na zewnątrz. W takich warunkach tych kilkunastu ludzi czy mężczyzn przestrzegaloby, pisze Lorenz, dziesięciorga przykazań tablic mojżeszowych z czysto naturalnej wewnętrznej potrzeby, żeby ocalić całą strukturę grupy, a poprzez to – siebie samego.

Innymi słowy... Dochodzimy do tego, co było sednem rozważań, że **naturalne instynkty człowieka, naturalne, wynikające z organizacji wczesnych grup koczowniczych, nie są złe**. Umożliwiały właśnie harmonijną współpracę w ramach grupy. Do tego jesteśmy stworzeni.

JULIA PIOTROWSKA Czy to oznacza, że człowiek nie jest od urodzenia niedobry?

JACEK OLSZEWSKI Człowiek nie jest od urodzenia niedobry, a tylko **nie jest dostatecznie dobry w stosunku do wymagań postawionych przez nowoczesne życie społeczne**. W takiej małej grupie wszyscy się znali, tak jak wy się znacie wszyscy w grupie klasowej. Ale gdybyście poszli do takiego liceum, które ma 800 uczniów, w tym 200 w klasach czwartych, to by tak już nie było. Tutaj w grupie tych 18 osób podstawą, na której opiera się funkcjonowanie klasy, jest to, że znasz tego, znasz tą, znasz tamtych. Wiesz czego się możesz spodziewać mniej więcej po nich i jest ta osobista więź właśnie. Z jednymi silniejsza, z innymi słabsza, a z innymi tylko przez to, że codziennie ich widzicie, rozumiecie ich zachowanie i już się nauczyliście ich reakcji.

Co się dzieje, kiedy zwiększa się znacząco liczebność grupy? Co się dzieje w takiej szkole, która ma 800 uczniów? Co tu jest łącznikiem? Zaczyna nim być generalnie nazwa szkoły, godło szkoły, hymn szkoły. Czujemy się, tak jak studenci różnych uczelni: harwardczykami, ludźmi z Uniwerka, ludźmi z Polibudy...Zaczyna się kształtować niby trochę to samo, ale coś innego. Potrzeba ogromna konsolidacji wewnętrznej jest, ale ona już nie ma tego wymiaru, nie ma tego „mięsa”, nie ma tego rdzenia, którym była znajomość wszystkich członków grupy. Nie jesteście w stanie już znać wszystkich członków waszej wyznawanej społeczności, do której poczuliście przynależność. Być może znacie tylko kilka osób z wielotysięcznej masy. Pójdźmy jeszcze dalej, szerzej, no to mamy taką wspólnotę jak na przykład Warszawa. Co łączy warszawiaków?

JULIA PIOTROWSKA Miasto.

JACEK OLSZEWSKI Miasto. To, że chodzicie po tych samych ścieżkach, ale nie znacie się. Jeżdżę komunikacją ciągle i rzadko się zdarza, że znajdę osobę, którą już raz widziałem, a przynajmniej nie pamiętam, żebym widział. Więc to jest coś zupełnie innego. Co więc łączy Warszawiaków? Wygląd ulic, przyzwyczajenia do siadania na ławce w parkach? Osoba prezydenta miasta? Tablice mówiące o ludziach, których już dawno nie ma? Piosenki o Warszawie? Słowa. Symbole.

JULIA PIOTROWSKA To pamięć!

JACEK OLSZEWSKI Tak, pamięć. Wyobraź sobie, że jeden spośród ludzi Twojej starodawnej wędrowniej grupy skonstruował łuk i strzały. Umarł bezpotomnie i jego geny zniknęły. Ale łuk nie. I po jakimś czasie konstruować go i używać umieli już wszyscy członkowie grupy. Zatem dysponujemy zbiorową pamięcią, to, co raz zostało wynalezione nie znika i staje się bazową umiejętnością kolejnych pokoleń. Ewolucja

społeczna odbywa się według prawa Lamarcka. Nabyte zostaje odziedziczone. Tak jak kształtowanie nowych odruchów warunkowych, od już istniejących odruchów warunkowych.

Zanalizujmy wyraz dziedziczenie. Prawnicy zajmowali się dziedziczeniem substancji materialnej, biolodzy dziedziczeniem substancji genetycznej. Życie społeczeństw ułatwiają jednak zdobycze dotyczące substancji materialnej. Czyli mamy zostawianie wszystkich zdobyczy, które cywilizacja zdobywa w danym pokoleniu pokoleniom następnym. Które mają już poszerzoną bazę i mogą na niej wymyślać nowe rzeczy. W którymś momencie poszło to bardzo szybko...więc to, że dziedziczymy wynalazki i to, że jesteśmy wyposażeni w agresję wewnątrzgatunkową, której nie można lekceważyć, to, że nie mamy już jej gdzie rozładowywać, a też nie wiemy, jak ją hamować - zaczęło mieć skutek bardzo niebezpieczny.

JULIA PIOTROWSKA Czyli zniszczył nas wzrost liczby ludzi, zmiana powiązań społecznych i ...

JACEK OLSZEWSKI Wzrost represyjności. Jeżeli w wędrowniej grupie wychodziło na jaw, że Twoje interesy kolidują z interesami innych uczestników, to, wobec tego, że mogliście wszyscy o tym rozmawiać, jakoś można było sobie z tym poradzić. Podobnie jak w wioskach indiańskich.

Ale dzisiaj na przykład w szkole nie powinnaś mieć kolizyjnych interesów z resztą uczniów, bo szkoła ma swój własny interes, którym jest brak napięć wewnątrz szkolnej społeczności. W Warszawie nie powinnaś mieć niechęci wobec mieszkańców innych dzielnic, bo miasto jest jedno, zarządzane z jednego ratuśza. I tak dalej.... I to zaczyna całkowicie być niezgodne z naszą naturą, z tym, do czego byliśmy stworzeni. Każą nam dzisiaj odczuwać przyjaźń lub co najmniej być tolerancyjnie usposobionymi do osób, których w ogóle nie znamy, których nie widzieliśmy i najprawdopodobniej nie zobaczymy - to jest obce naturze człowieka!

W związku z tym ludzie zaczęli szukać tego, co mogą znaleźć na własnych warunkach. Jakichś związków społecznych choćby z cieniem emocjonalności, takich, które mogą być choć trochę "nasze".

Zróbmy tu chwilowe podsumowanie, żebym był dobrze zrozumiany: z jednej strony liczba ludzi rośnie stale, z drugiej strony atawistyczne poczucie przynależności do grupy nie może zostać wykasowane, bo tak i tylko tak człowiek został sformułowany przed ewolucją neolityczną. Więc ma potrzebę grupy, wspólnotowości w tej grupie i ustawiania się ostrożnie do innych grup. No więc zaczęło się poszukiwanie nowych form grupowych, obciążonych jednak podwójnym grzechem "pierworodnym": **po pierwsze zbyt liczebnymi, po drugie pozbawionych indywidualnych więzi między wszystkimi uczestnikami.**

A więc rody, a więc grupy kibiców sportowych, związki polityczne, partie, ugrupowania religijne, organizacje, kluby tożsamościowe, wreszcie państwa i narody, a nawet i rasy.

Działa znana zasada: jak jestem w grupie, to usiłuję wewnątrz niej prezentować naszą spójność, na zewnątrz natomiast agresję. Jak jestem harwardczykiem, to na absolwentów innych uczelni patrzę z góry. Jak jestem kibicem Legii... to już nie będę dalej mówił, bo wiadomo, jak jest stosunek wyznawcy Legii do kibiców Widzewa albo Polonii, prawda? Jak jestem liberałem, to nienawidzę prawicowców. Jeśli jestem na przykład konserwatystą, to nienawidzę liberałów. Nie znam tych liberałów. Ja ich nie widziałem nigdy. Wiem, że są i ich nie lubię, bo powiedzieli mi, że oni nas nienawidzą. Więc skoro przy tak liczebnych grupach nie można znać ich członków, to polegasz na słowach, na symbolice słów. Na przykład mówią nam: my dążymy do tego, żeby wszyscy byli równi, żeby nie było głodu na świecie. Słyszysz takie hasła. Fajne? Tak, to Ci się podoba. To są moi, a tamci, co nie mają tych haseł, są przeciw naszym hasłom, to ja ich nienawidzę.

I się zaczyna. Zostaliśmy po prostu rzućni w byt społeczny, który nie jest naszym bytem.

JULIA PIOTROWSKA I co z tego dalej wynika?

JACEK OLSZEWSKI Coś bardzo groźnego. Bardzo duża grupa złożona z nie znających się osobście ludzi tworzy sytuację analogiczną do ławicy ryb. Czyli, na przykład, znajduję swoją przynależność: jestem socjalistą. Wszyscy inni socjaliści są moimi „współplemieńcami”. **Ja ich właściwie nie znam**, nie bardzo widzę, ale mamy wspólny interes i wspólne zadanie: robić to, co wybrany zarząd partii nam mówi, mówi on też co mamy czuć i jak przeciwstawić się partiom prawicowym. Ale – uwaga - człowiek nie był stworzony do życia w stadzie anonimowym, jest stworzony do hierarchii, więc szuka utopijnie przywódcy tej „ławicy”, który gdzieś tam musi przecież być i który pociągnie całą tą masę ludzi, którzy właściwie w ogóle się nie znają. Tak mu się właśnie wydaje.

To tak jak w korporacjach: akcjonariusze wierzą, że powołany zarząd tej korporacji poprowadzi ich interesy w taki sposób, żeby mieli zyski. Jak mogą to skontrolować? Nie mogą tego skontrolować. Zarząd obdarzony zaufaniem robi to w taki sposób jak umie. Lub jak chce...

I tu tkwi **ludzki** błąd. Ławica nie ma naturalnego przywódcy! Ona funkcjonuje w taki sposób, że wszystkie ryby powiązane są ze sobą lękiem. Kiedy jedna oddali się troszeczkę od całej ławicy, zaczyna czuć przemożny strach, który ją skłania do powrotu. Więc poruszanie się ławicy jest wynikiem wspólnych odruchów, tych lęków sumy bądź iloczynu, tysięcy odruchów przytrzymywania się tych ryb, które akurat znajdują się wewnątrz ławicy, jak i lęku tych, które znalazły się na jej sferze zewnętrznej. I tak całość przemieszcza się niczym wielka ameba.

Przypomnę niestłuchane doświadczenie: jednej rybce z ławicy wycięto z mózgu ośrodek strachu. Wiesz, co się stało? Bez problemu oddalała się od swych najbliższych towarzyszek, płynąc w stronę, która ją pociągała. Ale sąsiadki nie mogły znieść pogłębiającego się dystansu między nimi a tą okaleczoną. Tamta nie chciała wracać, więc one płynęły za nią. A za nimi ryby z głębi ławicy, które nie chciały stracić kontaktu z ty i z zewnętrznej sfery goniącymi mózgową kalekę. To doświadczenie jest tak wstrząsające, że aż obawiam się je interpretować...

JULIA PIOTROWSKA Podobny mechanizm działa u ludzi?

JACEK OLSZEWSKI Tak, dlatego ludzie w takich grupach wykazują tendencję do poddania się tym, którym uwierzyli, że oni będą ich prowadzić? Dlatego właśnie. To jest ukłon w stronę natury hierarchicznej. Pragniemy, musimy mieć tych, którzy są mądrzejsi, wiedzą lepiej itd. Czyli musimy mieć kapłanów, przywódców partyjnych, a w państwach i narodach - rządy, którym wierzymy. To są te ryby, które nie mają strachu, nie muszą być takie jak wszyscy. Mają odwagę, żeby iść w jakimś tam kierunku.

Brzmi ładnie? Daje nadzieję? Ostrożnie z tym. Mam przed sobą artykuł Kurta Vonneguta, jednego z najznakomitszych pisarzy amerykańskich. Píše tak:

„Niektórzy ludzie rodzą się głusi, niektórzy przychodzą na świat niewidomi, ale moja książka jest o osobnikach ludzkiego gatunku, którzy przyszli na świat bez sumienia i do końca nie wiadomo, jak i dlaczego zdobywają nad wszystkim kontrolę. Zdają sobie sprawę z krzywd wyrządzanych innym ludziom, ale nic, a nic ich to nie obchodzi. Nie mają hamulców moralnych. Wielu sprawuje dzisiaj wysokie funkcje w formach życia społecznego. Są przekonani, że są przywódcami społeczeństwa, a nie ludźmi, których należy kierować na intensywną terapię. Mogło im się wydawać, że wciągnięcie kraju w niekończącą się wojnę jest czymś wspaniałym, doskonałym posunięciem strategicznym, pokazującym, że są w stanie podejmować stanowcze decyzje. Tak, to właśnie umiejętność podejmowania takich stanowczych decyzji jest przyczyną osiągnięcia przez rzeszę takich ludzi wysokich pozycji w firmach i rządach. Każdego dnia mogą dokonywać czegoś bez poczucia strachu, bez najmniejszych obaw i bez żadnej odpowiedzialności. W przeciwieństwie do innych ludzi, tych zwyczajnych, nie przeżywają oni nigdy dylematów, a to z tego powodu, że nie bardzo obchodzą ich konsekwencje własnych decyzji”. Vonnegut widzi to piekielnie ostro.

JULIA PIOTROWSKA Faktycznie trzeba być ostrożnym!

JACEK OLSZEWSKI Przeszedłszy od etapu małych samodzielnych struktur grupowych, co najwyżej plemiennych, do wielkich społeczności, takich jakie funkcjonują dzisiaj, musimy szukać swojskości, jakiegoś swojego surogatu tej grupy wędrownej. Znajdujemy to w różnych organizacjach, stowarzyszeniach, kołach, związkach, partiach, w eposach narodowych. I z kolei komuś musimy oddać sterowanie tymi tworam, bo to z naszej potrzeby hierarchiczności wynika. Niestety nierzadko jest tak, że ci ludzie, których obdarzyliśmy zaufaniem, którzy mają nas prowadzić, oni nie zasługują na to zaufanie i mogą nas skierować w tak zwany kanał. I to się dzieje, bo jedynym, jak już mówiliśmy, jedynym spoiwem tak rozrośniętych zbiorów są tylko symbole i słowa, a w symbolach i słowach można bardzo dużo emocji wykreować. To jest wielkie niebezpieczeństwo.

JULIA PIOTROWSKA Dlaczego można wzbudzić tyle emocji?

JACEK OLSZEWSKI Bo my jesteśmy stworzeniami emocjonalnymi. Chcielibyśmy być racjonalni, ale to nie jest prawda. Jesteśmy emocjonalni. I to wynika z biologii. Jest taka część mózgu zwana międzymózgowiem i wszystkie sygnały, które idą ze świata zewnętrznego u wszystkich ludzi muszą przejść przez to międzymózgowie, gdzie zostają zabarwione jednym z czterech kluczowych emocji: jakimś odcieniem rozpaczy albo ekstazy, albo lęku, albo wściekłości, gniewu. Dopiero w wyniku tego możemy w ogóle jakoś się ustawić w stosunku do bodźca, który akurat do nas dociera. Bez tej "bramy do świadomości" bodźce pozbawione byłyby znaczenia. Byłyby bezbarwne.

Bardzo jesteśmy emocjonalni. I między innymi źródła właśnie gniewu, tej agresji wewnątrzgrupowej, która jest w nas, tam należy szukać. I zaakceptować, bo międzymózgowia zakleić sobie nie można

JULIA PIOTROWSKA Można poprosić o małe zsumowanie...

JACEK OLSZEWSKI Dobrze, zsumujmy: agresja wewnątrzgrupowa musiała być bardzo dobrze rozwinięta, bo tylko na tym dzikim krzaku można zaszczyć pięknie kwitnącą osobniczą więź. A ta więź była potrzebna po to, żeby wychować długo rozwijające się dzieci ludzkie w możliwym bezpieczeństwie. Tak, że jesteśmy w niewoli różnych postulatów, które pięknie ze sobą harmonizują - ale na poziomie grupy koczowników.

Teraz popatrz, ta silna emocjonalność i fakt życia w małej gromadzie determinują sposób odczuwania i traktowania nieszczęść związanych z użyciem przemocy lub morderstwem wewnątrz grupy. Oczywiście jest, że mogło się zdarzyć, iż w grupie dziesięciu mężczyzn otoczonych kobietami i dziećmi dochodziło do emocjonalnej rywalizacji o kobietę. Jeden mógł nawet zabić drugiego, ale było to wówczas wielkie wydarzenie. Sagi skandynawskie niejednokrotnie opowiadają o tym, że jakiś Bjorn z zazdrości zabił jakiegoś Olafa, a potem należało tę sprawę rozwiązać i zamknąć: poprzez wygnanie, ucieczkę z grupy, samobójstwo albo bardzo silnie akcentowaną pokutę. To są sposoby domknięcia tragedii, które jesteśmy w stanie zrozumieć i zaakceptować.

Jest taki film *Tabor wędruje do nieba*, jeszcze z czasów radzieckich. Rzecz dzieje się w 14 środowisku karpaccy Cyganów. Młody, otoczony sławą junak zakochuje się w Cygance o mocnej, dumnej osobowości. Kiedy ma poprosić ją o rękę przed całym plemieniem, a ona tworzy mu kolejne przeszkody upokarzające go, nie wy-



trzymuje i - pchnięcie nożem kończy miłość. I to temat wart filmu! Pomyśl tylko: jedno wydarzenie, ale jak przeorało życie tego plemienia! To było ogromne przerysowanie, to się zdarzało rzadko i wiązało się z ogromnym cierpieniem dla tego, kto był winowajcą. I dla innych. Emocje opadały, a potem dopiero widać było: co ja zrobiłem?!



Natomiast w przypadku wielkich zbiorowości taki hamulec właściwie przestaje działać. Wciąż jeszcze ekscytujemy się informacją, że ktoś został napadnięty, zabity i tak dalej. Konkretny człowiek. Pojedyncze takie historie oglądamy w serialach kryminalnych czy policyjnych. To, powtarzam, dotyczy jednostki. Natomiast masowych krzywd i mordów, obejmujących ogromne liczby ludzi, już nie dostrzegamy emocjonalnie. Nie jesteśmy w stanie ich naprawdę odczuć ani wyobrazić sobie ich skali.

JULIA PIOTROWSKA A dlaczego właściwie nie widzimy?

JACEK OLSZEWSKI Bo stworzyliśmy sobie świat -przez swój rozwój - taki, który jest światem obcym. Bo nie jesteśmy stworzeni do takiego odczuwania. Wiemy, że gdzieś tam na tych wojnach współczesnych, cza! się groza, że giną dziesiątki tysięcy ludzi, masy dzieci i tak dalej. Wiemy to naszym umysłem. I nie podoba nam się to. Nasza moralność przeciwko temu protestuje, ale jakoś nie jest tak, że nocy za nocą nie możemy przespąć z tego powodu, że bombardują Iran Amerykanie. Albo że Rosjanie walczą z Ukraińcami. Nie budzimy się z tego powodu w środku każdej nocy z krzykiem. To jest bowiem skala, której nasze międzymózgowie nie widzi. Tak jak nie do wyobrażenia jest skala mordów dokonywanych w obozach zagłady za czasów II Wojny Światowej.

Popatrzmy na historię Szmula Zygielbojma, jednego z przywódców polskich Żydów w czasie II Wojny Światowej, który pojechał do Wielkiej Brytanii, żeby przedstawić fakty dotyczące masowego mordowania Żydów w obozach założonych na naszych ziemiach. Nie chciano mu wierzyć, nie doczekał się zrozumienia. To była taka skala wydarzeń, której człowiek żyjący w dość dalekiej Brytanii emocjonalnie nie czuł. Męczeństwo pojedynczego człowieka - tak, ale masy ludzi - niestety nie. I dlatego jest tak trudno.

W tej, nad naszą miarę, skali, która emocjonalnie nas nie otwiera, jesteśmy podatni tylko na słowa, na symbole. Wszystko działa inaczej, powierzchownie. Na przykład jemy skrzydełka z ferm, gdzie kurczaków potrafi być 240 tysięcy w jednej hali. Sami byśmy tego pojedynczego kurczaka nie zamordowali pewnie nigdy. Jemy go dlatego, że inni to zrobili. W skali masowej. Lorenz pisze, że żaden z normalnych ludzi dzisiaj żyjących, nie poszedłby do lasu złapać zająca, zabić go paznokciami, rozerwać i zjeść. To jest nie do wyobrażenia.

W Polsce, przed wojną, rosła znacząco fala antysemityzmu. Żydów się nie lubiło, Żydzi - nie, były całe organizacje światopoglądowe, które Żydów nie chciały w Polsce w ogóle. Ale potem przyszła wojna i okazało się, że Polacy znaleźli się w czołówce narodów, które ratowały Żydów. Bo my nie ratowaliśmy Żydów jako narodu. Ratowaliśmy poszczególnych, konkretnych Żydów, których albo znaliśmy i szanowaliśmy albo o których ci Polacy, których znaliśmy bądź szanowaliśmy, mówili nam: to dobry Żyd. To jest dobry Żyd. To jest nasz Żyd. I otóż widzisz jaką potęgę ma skala.

To jest nasze nieszczęście i szczęście. Dowiedliśmy tego, że dlatego najwięcej Żydów ocalono na obszarze Polski, bo w procesie ratowania od Zagłady mieliśmy z nimi spotkania zgodne z rytmem wspólnoty matki, pierwotnej, a nie wielkiej, opartej o ideologię.

JULIA PIOTROWSKA Ale przecież każda zbrodnia wiąże się z przeżywaniem emocji...

JACEK OLSZEWSKI Tak, zabicie człowieka, nawet w rytualnym pojedynku, jest przeżyciem. Ale spójrzmy, czym charakteryzują się współczesne wojny. Wykorzystuje się pojazdy bezzałogowe, drony. Człowiek, który

nimi operuje, siedzi gdzieś 300 czy 500 kilometrów dalej i po prostu wykonuje swoje zadanie. Dla niego przypomina to grę komputerową. Nie ma bezpośredniego poczucia uczestniczenia w zadawaniu masowej śmierci. Piloci podczas II wojny światowej sami lecieli nad wrogi teren, ryzykując własnym życiem. Dziś nie jest to już konieczne. Konkretni ludzie, żyjący tam, dokąd lecą drony, giną, czasem masowo, ale osoba sterująca urządzeniem jedynie naciska przyciski i kieruje jego lotem. Nie ma bezpośredniego kontaktu ze skutkami swoich działań — ze śmiercią, cierpieniem czy okaleczeniem. Być może nawet nie odczuwa związanych z tym emocji.

JULIA PIOTROWSKA Dobrze, a jak to jest z liczebnością jakiejś grupy- nie może być za duża...

JACEK OLSZEWSKI Ta liczebność, ta liczebność... radykalne powiększenie liczby osobników należących do społeczności wywołać musi dwa rodzaje skutków, które zakłócają równowagę między naszymi instynktami przyciągania i odpychania. Czyli między osobniczą więzią, a agresywnością wewnątrzgatunkową.

Po pierwsze, nie jest dobrze, kiedy powiązań osobistych jest zbyt wiele. Stare przysłowie mówi, że można mieć tylko niewielu naprawdę dobrych przyjaciół. I to jest prawda. Wielka podaż znajomych, których pociąga ze sobą z musu każda większa społeczność czy media społecznościowe, pomniejsza trwałość poszczególnych

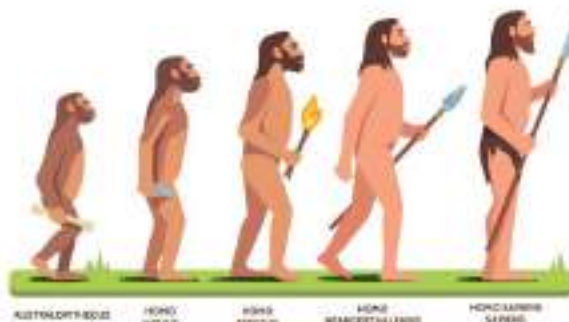


związków. Praktyczni Amerykanie wyliczyli, że maksymalna liczba dorosłych osób połączonymi wspólnymi, głębokimi więziami w jednej grupie (bez rozbijania się na podgrupy) wynosi 11. Być może dlatego pojawić się musiał "nadprogramowy" Judasz?

Po drugie, ciasne stłoczenie wielu jednostek w małej przestrzeni powoduje osłabienie wszystkich reakcji społecznych. W miarę coraz wyż-

szego rozwoju tej cywilizacji, którą zbudowaliśmy, warunki sprzyjające właściwemu działaniu naszych skłonności, które są naturalne, skłonności do życia w mikrospołeczności, stają się coraz mniej korzystne. A wymagania stawiane naszemu zachowaniu wzrastają. Bliźniego każą nam traktować tak, jak był naszym najlepszym przyjacielem, pomimo że niekiedy w ogóle go nie widzieliśmy. Co więcej, mamy rozumowo pojąć, że jesteśmy zobowiązani do miłowania nie tylko przyjaciół, ale i nieprzyjaciół, a to nigdy nie przyszłoby nam na myśl na podstawie naszych naturalnych skłonności. Wszelkie kazania ostrzegające przed puszczaniem wodzy naszym instynktom, nauka o grzechu pierwotnym głoszą, że człowiek od urodzenia jest zły. Wszystkie zawierają tę samą prawdę, a mianowicie, że człowiek nie powinien poddawać się ślepo swoim odziedziczonym skłonnościom. Musi nauczyć się je opanowywać, przewidywać skutki.

Niestety wygląda na to, że ponieważ spoistość rosnącej społeczności ma rosnąć, a jej rozbieżność z naszymi naturalnymi popędami (do wspólnotowości w minigrupie) też rośnie, przepaść między tym, co człowiek gotów jest zrobić dla ogółu w wyniku naturalnych skłonności, a tym czego się od niego wymaga, staje się coraz większa, więc i życie staje się coraz trudniejsze. Świadomość ta jest tym bardziej niepokojąca, że trudno dopatrzyć się jakichś nowych posunięć ewolucyjnych, które mogłyby wykształcić w człowieku to, co z siły jego poczucia odpowiedzialności stałoby się mu przyrodzone. Przeciwnie, należy się obawiać czegoś odmiennego. Ludzie, którzy żyją w taki sposób, że bardzo się bronią przed krzywdzeniem innych, często popadają sami w nowe rozterki i wtedy zaczynają ku sobie odwracać te ostrza agresji wewnątrzgatunkowej, że to ja jestem do niczego, zaczynają się ciąć, zaczynają popełniać próby samobójcze. Gdzieś



ta wrodzona agresja musi się rozładować- jak nie na innych, bliskich, to na sobie, jak nie na sobie, to w grupie, która będzie miała sztuczną spójność. Rozwijają się współczesne plemiona — plemię Widgewa, plemię Legii, plemię Lecha i tak dalej. Podałem przykłady ze świata sportu, ale równie dobrze może to być plemię chrześcijan, muzułmanów, Żydów czy przedstawicieli innych wspólnot. Od tego nie uciekniemy. Taki kierunek przybrała nasza ewolucja i wiele wskazuje na to, że potrzeba przynależności do grupy pozostaje jedną z najsilniejszych cech ludzkiej natury.

JULIA PIOTROWSKA A co jeszcze z tym prawnikiem i biologiem, o których wcześniej mówiliśmy?

JACEK OLSZEWSKI Prawnik sądowy nie odpuści, dopóki nie odtworzy całego toku rozumowania prowadzącego do danego zdarzenia. Będzie chciał ustalić, co się stało, kto za to odpowiada i dlaczego do tego doszło. Ewolucjonista działa podobnie. Z równym uporem poszukuje odpowiedzi na pytanie, dlaczego świat wygląda dziś tak, a nie inaczej, sięgając do najdawniejszych początków i procesów, które ukształtowały współczesne zachowania, instytucje i motywacje.

Zostaliśmy zaburzeni i doszło do nieszczęścia. Tak jak prawnik z psychologiem mogą stwierdzić, że ktoś został zaburzony w młodości czy w dzieciństwie i dlatego dopuścił się morderstwa, tak biolodzy starają się tego szukać w wymiarze zbiorowym, z podobną konstatacją. Wszystkie inne rzeczy są głędzeniem. Możemy się zastanawiać do końca świata, czy człowiek jest zły czy dobry. A on jest zły i dobry. Zawsze był dobry dla własnej grupy, zawsze był niebezpieczny, zły dla innych grup. I teraz próbujemy sobie z tym wszystkim jakoś radzić w świecie społecznym, który nie jest tym, który był dla nas tworzony.

JULIA PIOTROWSKA Jak to jest, że homo sapiens wygrał z neandertalczykiem?

JACEK OLSZEWSKI Bardzo ciekawy temat poruszyłaś! Już troszeczkę o przyczynę się otarliśmy. Neandertalczyk miał trochę inne cechy- był niższy, bardziej krępy, miał potężny kościec i był o wiele silniejszy niż homo sapiens, jak wiemy też, miał niebieskie oczy, jasne włosy, bo to jest rasa czy gatunek, czy podgatunek, jeżeli tak można powiedzieć, wyhodowany do życia w świecie zimnym. W południowej Europie, gdzie żyli neandertalczycy, w czasie epoki lodowej, panowały warunki tundry.

Antropolodzy robili badania w górach Iraku, właściwie na granicy Iraku i Iranu, w górach Zagros, gdzie występujące tam jaskinie zasiedlane były przez pierwotnych ludzi od ponad stu tysięcy lat. Badania wykazały, że były tam zarówno siedziby neandertalczyków, jak i Homo sapiens. I ich koegzystencja początkowo przez tysiące lat przebiegała bez żadnych problemów. Nie ma śladów kolizji, napaści, każde grupy żyły na swoich terenach. 40 tysięcy lat temu zaznaczyła się zmiana, neandertalczycy zaczęli znikać i po kilku tysiącach lat już ich tam nie było.

A teraz przenieśmy się do Europy Południowej, gdzie od 100 tysięcy lat również żyli neandertalczycy. Tam nie było stanowisk Homo sapiens. Dopiero około 40 tysięcy lat temu, dość nagle, pojawiają się ślady ich bytności i parę tysięcy lat później neandertalczyk znika. Pytanie: dlaczego na obszarze Bliskiego Wschodu tak długo mogła przebiegać koegzystencja, a w Południowej Europie ledwo się pojawił homo sapiens, od razu neandertalczyk zaczął być wypierany? Zastanawiano się, co było tym czynnikiem i wnioski okazały się wstrząsające.

JULIA PIOTROWSKA O rany! Jakie były te wnioski?

JACEK OLSZEWSKI To był inny homo sapiens! Ten, który był na Bliskim Wschodzie nie był wojowniczo usposobiony do neandertalczyków. Obszar był duży, nie wadzili sobie. Ten, który się pojawił w Europie Południowej był inny. Coś zaistniało takiego, że ta koegzystencja nie była możliwa.

JULIA PIOTROWSKA To teraz pytanie, co takiego się stało? Czym odróżniał się ten, który przybył na Południe Europy?

JACEK OLSZEWSKI Właśnie, tak to wygląda, jakby odłamy tych z Południowej Europy dotarły do Bliskiego Wschodu i tym Homo sapiensom, którzy tam żyli, coś im przekazali, czegoś ich nauczyl. I to było zabójcze dla neandertalczyków, tak samo jak przedtem w południowej Europie stało się coś zabójczego dla tamtejszych. Czyli ci z południowej Europy mieli coś innego, coś takiego, czego ci z Bliskiego Wschodu nie mieli. Może jeszcze nie mieli? I teza, którą postawili naukowcy, była niesamowita.

Ci europejscy **mieli mowę**. Mowę opartą na gramatyce. Straszna broń to jest. Wiadomo, że rodzaj Homo, różne wcześniejsze gatunki ludzkie miały od dawien dawna, pewnie już ze 200 albo 300 tysięcy lat temu gotowy aparat mowy. Taki sam jak dzisiaj język, dźwięki, podniebienie, zęby, krtań, struny głosowe. Wszystko mieli to samo, tylko trzeba było z tego wymyślić mowę. I któraś prawdopodobnie, to jest bardzo romantyczne wyobrażenie, ale któraś z grup Homo sapiens - rozrzuconych po świecie - zrobiła to. Od skał Cro-Magnon w południowej Francji, gdzie znaleziono najliczniejsze ślady - w tym artystyczne - ich działania, nazwano tych ludzi Kromaniończykami. Tak jak wynaleziono koło, tak wynaleziono również ten sposób porozumiewania się. Znaczący neandertalczyków — a specjalistów od neandertalczyków jest dziś bardzo wielu — mogliby odpowiedzieć, że oni także posługiwali się mową. Zapewne tak było. Mogli mieć jakiś prosty system komunikacji. Mnie jednak chodzi o język gramatyczny, który umożliwia precyzyjne przekazywanie informacji, wyrażanie złożonych myśli i budowanie skomplikowanych struktur znaczeniowych. To właśnie on stanowi jeden z fundamentów ludzkiej cywilizacji.

Popatrz, mówiliśmy o tym, że gdy czujesz się na przykład liberałem czy konserwatystą, nie musisz znać osobiście innych liberałów czy konserwatystów. Symbole, z którymi się identyfikujesz, budują jednak poczucie przynależności do grupy wyróżniającej się właśnie poprzez te symbole. A mowa, na pewnym poziomie ogólności, jest niczym innym jak zbiorem symboli. Dlatego podstawowa różnica między neandertalczykami a kromaniończykami mogła polegać na tym, że ci drudzy byli zdolni funkcjonować w znacznie większych grupach. Nie liczących siedem czy dziesięć osób, lecz czterdzieści, sześćdziesiąt, a może nawet więcej. Łączyła ich wspólna mowa, która umożliwiała przekazywanie precyzyjnych komunikatów i skuteczniejszą współpracę. To była ogromna przewaga. Prawdopodobnie przyprowadzili ze sobą także udomowione psy, co całkowicie zmieniło sposób polowania. Nie trzeba już było samodzielnie zaganiać zwierzyny — można było wykorzystywać do tego psy, które stały się ważnymi pomocnikami człowieka. Niewykluczone również, że znajomość języka gramatycznego stopniowo rozprzestrzeniła się na Bliski Wschód. Dzięki temu ludzie żyjący tam wcześniej, współistniejący z neandertalczykami, stali się dla nich coraz groźniejszymi konkurentami.



JULIA PIOTROWSKA Czyli koegzystencja była coraz trudniejsza?

JACEK OLSZEWSKI Tak, koegzystencja z Homo sapiens stawała się dla neandertalczyków coraz trudniejsza. Po prostu nie byli w stanie dotrzymać mu kroku. Tak jak wilk workowaty przegrał walkę konkurencyjną z psem dingo w Australii. Tak jak Buszmeni w południowej Afryce przegrali z Zulusami, którzy, docierając tam z północy, okazali się być na wyższym poziomie rozwoju technologicznego. Ostatecznie neandertalczycy przegrali walkę konkurencyjną. Ich funkcjonowanie z narzędziami wykonanymi wyłącznie z kamienia, w niewielkich grupach rodzinnych, było skazane na stopniowe ustępowanie pola.

Powtórzę: Homo sapiens okazał się zbyt wymagającym konkurentem. Mowa oparta na gramatyce stała się nową, potężną bronią, która sprawiła, że Homo sapiens właściwie nie miał już konkurentów. Możliwość dzielenia się w dużej grupie różnorodnymi pomysłami doprowadziła do szybkiego rozwoju wynalazków, takich jak łuk, strzały czy pułapki. Neandertalczycy najwyraźniej stronili od nowości. Byli bardzo przywiązani do obróbki kamienia, w której zresztą osiągnęli mistrzostwo, ale to nie wystarczyło.

Pamiętajmy też, że gdy powstała już stosunkowo liczna grupa, zdolna do utrzymania wewnętrznej spójności, agresja kierowana na zewnątrz z pewnością również znacząco wzrosła.

JULIA PIOTROWSKA Co się stało z neandertalczykami?

JACEK OLSZEWSKI Wcale nie trzeba stawiać tezy, że zostali wybici. Wiadomo, że my, współcześni ludzie, mamy w swoim genomie od 1 do 4 procent genów neandertalskich. Nie ma jednak wśród nas neandertalskiego mitochondrialnego DNA, które jest przekazywane wyłącznie w linii żeńskiej. Wszyscy posiadamy mitochondrialne DNA Homo sapiens. Oznacza to, że kobiety Homo sapiens mogły mieć potomstwo z mężczyznami neandertalskimi, natomiast odwrotna sytuacja najwyraźniej nie zachodziła. Gdyby bowiem kobiety neandertalskie również rodziły dzieci z takich związków, zachowałyby się przynajmniej część neandertalskiego mitochondrialnego DNA.

Tę sytuację można wyjaśniać na dwa sposoby. Pierwszy zakłada, że mężczyźni neandertalscy i kobiety Homo sapiens byli dla siebie atrakcyjni, natomiast w drugą stronę już nie — innymi słowy, kobiety neandertalskie nie były atrakcyjne dla mężczyzn Homo sapiens. Jest to jednak dość ryzykowne wyjaśnienie, ponieważ tak daleko posunięta jednolitość preferencji wydaje się mało prawdopodobna. Nawet współcześnie ludzie wykazują bardzo różnorodne, nieraz skrajnie odmienne upodobania.

Drugie wytłumaczenie wydaje się sensowniejsze i polega na przyjęciu tezy, że kobiety neandertalskie nie mogły mieć dzieci ze związków mieszanych. Prawdopodobnie do zapłodnienia mogło dochodzić, ale albo płody w którymś okresie ciąży nie mogły się dalej rozwijać (w wyniku jakiejś genetycznej różnicy) albo mogła to być różnica anatomiczna, uniemożliwiająca poród. Tak czy inaczej wiemy, że te krzyżówki nie pozostawiły po sobie śladu. Natomiast z drugą stroną - tak.

Tak, że wprawdzie neandertalczycy ustępowali, było ich coraz mniej, przegrywali w tej walce konkurencyjnej, ale znaleźli sposób, żeby pozostawiać po sobie ślad i po prostu rozpuścili się w nas :) Takie wnioskowanie wydaje się być najbliższe prawdy.

Tylko ten brak jasnej odpowiedzi na pytanie: czy to był ten sam gatunek, czy nie. Gdyby był ten sam, to płodne potomstwo powinno rozwijać się w każdego rodzaju krzyżówce. Z drugiej strony, skoro się rodziły dzieci i geny neandertalskie są w nas, to jednak krzyżówki następowały. Coś pechowego, coś nieznanego musiało tkwić w tym, że połączenie pań neandertalek z mężczyznami sapiens nie pozostawiało po sobie śladu. Może neandertalki nie mogły też, tak jak to zrobił sapiens, porzucić swojej struktury rodzinnej? Homo sapiens miał w sobie bardzo dużo ciekawości, bardzo dużo otwarcia na nowość, zarówno jeśli chodzi o sztukę, chodzi o te malowidła naskalne na południu Francji, jak i niestety na sposób zabijania, w bardzo urozmaicony sposób - najpierw polowania, a także i walki międzyludzkiej. Z tego, co wiadomo, ne-

andertalczyki mieli wyraźnie mniejszy stopień agresywności. A to już jmoże być tłumaczone tym, o czym mówiłem wcześniej, wpływem wielkości grupy na łatwość przejawiania zachowań wrogich.

JULIA PIOTROWSKA A teraz jeszcze mowa na koniec?

JACEK OLSZEWSKI Język okazał się najbardziej złowróżbnym wynalazkiem. Na początku był fantastyczną pomocą, ale w dzisiejszym świecie, świecie komunikacji przez symbole, zwodzi ludzi na manowce. Umożliwia im po prostu bycie złymi. Umożliwia im realizowanie interesów przywódców: politycznych, religijnych, środowiskowych. Bez postrzegania namacalnych, emocjonalnych skutków swych zachowań, morderczych lub potencjalnie morderczych, wobec innych ludzi.

Można powiedzieć, że Ha-Nocri ma rację: człowiek urodził się indywidualnie dobrym, był w raju, ale z czasem to zło, które na niego spływa, staje się złem zbiorowym. Powtarzam: spotykam wokół ludzi, którzy są mili, przyjaźni i dobrzy — każdy z nich z osobna. Ale gdy czytam o tych porządnym ojciec rodzin, którzy siadali za sterami bombowców i rujnowali miasta, mordując ludzi na masową skalę... To jest po prostu pułapka.

JULIA PIOTROWSKA A skoro człowiek nie jest tylko dobry i nie jest tylko zły, to co można zrobić, żeby to zło go nie zniszczyło?

JACEK OLSZEWSKI To dziecko, które jest we mnie, jak zresztą w każdym trochę, powiedziałaoby, że najlepiej, tak jak mówią anarchiści, powrócić do tego, żeby społeczność stała się zbiorom, czy też luźną konfederacją wolnych gmin, a nie takimi gigantycznymi organizmami, które po prostu tę agresję z nas wyciskają, opartą na przyczynach symbolicznych tylko i wyłącznie.

Ale ten dorosły, który jest także we mnie, mówi na to: niestety, tak się nie da. Mówi słowami Hermanna Hessego ze *Stepowego wilka*: „W ogóle żadna droga nie prowadzi z powrotem... Droga nie prowadzi wstecz, lecz naprzód... coraz dalej w głąb winy, coraz głębiej w stawanie się człowiekiem...”.

JULIA PIOTROWSKA No więc jak ta droga naprzód może wyglądać?

JACEK OLSZEWSKI Nie uważam się za proroka i nie chciałbym mamić, ale to, co można zrobić w tym układzie, to ocalić pamięć. To jedyne, co według mnie można zrobić. Ocalić pamięć o tym, kim byliśmy jako ludzie pierwotni, żeby można było do tej pamięci sięgnąć, być może, później, kiedyś. To powinno być zadaniem szkolnictwa, zamiast nurzania się w chciejstwie: „kim mamy być”, powinno ono przypominać, kim byliśmy. I jednak, mimo upływu tysięcy lat, dalej jesteśmy.

Po pierwsze, jesteśmy istotami emocjonalnymi i reagujemy zawsze i głównie przez emocje (które mogą podlegać hamowaniu), a potem możemy tych reakcji żałować.

Po drugie jesteśmy stworzeni do życia w małej społeczności, w której wszyscy się znają, która się konsoliduje wewnętrznie, w opozycji do innych wspólnot.

Po trzecie, mamy wysoki poziom agresji wewnątrzgatunkowej, która - w imię przetrwania wspólnoty - kierowana jest na zewnątrz

Po czwarte, mamy wrodzoną potrzebę hierarchii, czyli wewnętrznego uporządkowania grupy w imię dbałości o jej sprawność i decyzyjność

Po piątę, pokłosiem tych uwarunkowań jest nasza fantastyczna zdolność do nawiązywania głębokich osobistych więzi i przeżywania ich przez nawet bardzo długi okres.

Po szóste: świat się obszedł z nami bardzo twardo. Stało się tak, że jest nas za dużo i mniej może nie będzie. Nie jesteśmy już w stanie żyć w tych układach, do jakich fizjologia i ewolucja nas przystosowały, żyjemy w zbiorowiskach sztucznych, anonimowych, gdzie usiłujemy odtwarzać zaginioną wartość wewnętrzną upragnioną przez nas zbiorowości.

Po siódme: W tych sztucznych, pozbawionych zmysłowego kontaktu, zbiorowościach, stajemy się ławicą, bo nie wiąże już nas nic więcej, prócz symboli, realne więzi osobnicze nie istnieją, a symbole mogą być łatwo wykorzystane przeciwko nam przez ludzi, którzy podobnie jak ta okaleczona ryba w ławicy, nie odczuwają strachu przed innymi ludźmi i przed swoimi decyzjami.

Wielkie zbiorowiska mogą być prowadzone wbrew swym najistotniejszym interesom, ale zgodnie z interesami ich przywódców, posługujących się właśnie tymi symbolami, które podnoszą nasze poczucie spójności.

Niestety w tym układzie nasza emocjonalność, która zostaje pobudzona, staje się jak pusty dzwon. Jest takie powiedzenie ukraińskie: kiedy powiewa sztandar, rozum mieści się w trąbie. Tuwim pięknie oddał to zjawisko w wierszu „Do Prostego Człowieka”. Ronald David Laing, słynny szkocki lekarz psychiatra pisał: „Większość bytów społecznych naszych czasów to... człowieczeństwo zwrócone w kierunku prześladowania i autodestrukcji. Murzyni, Żydzi, bolszewicy. ONI. Tylko ty i ja ubieramy się inaczej. Faktura tworzywa powszechnych halucynacji jest tak zwaną rzeczywistością...

I jeszcze raz Konrad Lorenz:Do stworzenia sytuacji... wywoływanej z pełną świadomością celu przez demagogów, potrzebne jest – po pierwsze zagrożenie wartości. Prawdziwy wróg czy też jego kukła może być przez demagogów dobierany niemal dowolnie i być - tak jak i zagrożone wartości - konkretny bądź abstrakcyjny. „Żydzi”, „szkopy”, „Huny”, wyzyskiwacze, tyrani itp. działają równie skutecznie jak np. kapitalizm światowy, bolszewizm, faszyzm, imperializm i wiele innych -izmów. - Po drugie ... niezbędna jest możliwie porywająca figura wodza

JULIA PIOTROWSKA Tak możemy się właśnie na co dzień dawać, manipulować. Jakie jest z tego wyjście?

JACEK OLSZEWSKI Zdać sobie z tego wszystkiego sprawę. Może biologia pomoże. Może na przykład okaże się, że odkryte zostaną geny, których allele predestynują człowieka do tego braku skrupułów społecznych. Być może będzie bardzo łatwo testem takich ludzi znaleźć. Czy ten człowiek ma je czy nie? Na przykład - niestety ma. To nie dopuszczać, odsuwać od decyzji ważnych dla zbiorowości. Fajnie by było. Bo my nie musimy być źli. W Cesarstwie Austro-Węgierskim żyli obok siebie przez długie lata do wybuchu I Wojny Światowej: Niemcy, Węgrzy, Polacy, Słowacy, Czesi, Słoweńcy, Chorwaci, Ukraińcy, Cyganie, Bośniacy, Żydzi, Serbowie. Prawosławni, katolicy, muzułmanie. Ale komuś to przeszkadzało...

JULIA PIOTROWSKA Ale w dalszym ciągu musiały być jakieś spory.

JACEK OLSZEWSKI Zło indywidualne nigdy nie zostanie zlikwidowane. Z tym się musimy pogodzić. Bo zawsze jesteśmy emocjonalni. Zawsze możemy przestać panować nad sobą i zrobić jakąś krzywdę. Ale którą można odkupić, jak *Zbrodnia i kara* pokazuje. I nawet dobrze odkupić. To, co jest w nas trudnego, ale indywidualnego, to nie jest zło, to jest „bieda”. Ktoś powiedział, że opieranie się naszym namiętnościom nie dowodzi naszej siły, tylko ich słabości. Dobrze powiedział.

Ale uwaga! Zabić z zazdrości kogoś z własnej gromady – to tragedia, takie są ścieżki życia i takie jego ryzyko. Nasz kodeks karny też odróżnia zabójstwo dokonane w emocjach od zabójstwa „z niskich pobudek”. Ale sprzedać kogoś z własnej gromady innym ludziom, czy zabić z żądzy zysku – to podłość, na jaką nie ma usprawiedliwienia. Wikingowie takiego kogoś, kto się poważił złamać zasadę zaufania wewnątrzgrupowego, przywiązywali do pała wbitego w dno morskie, robili to w czasie odpływu i oczekiwali na przypływ... Może dlatego, przez długi czas, ci, wyjąłowieni z sumienia, nie dominowali ...?

Wracając do początku rozmowy - to co zdarza się indywidualnie, zarazem zdarza się rzadko i porusza całą wspólnotę i sprawcę też- to jest „bieda”. Tak jak w filmie *Tabor wędruje do nieba* i tak jak w sagach wikingów.

Natomiast to, co jest prawdziwym złem, to są właśnie te manowce, na które usiłując być wiernym naszym ewolucyjnym standardom, wykierowała nas demografia. I technologia. Tutaj trzeba szukać wyjścia.

Być może prorocy i ludzie niezwykli, niepowtarzalni, którzy w jakiś sposób umieli na ludzkość spojrzeć, jak gdyby z góry, z "elipsy", jak pisał Stachura, są nosicielami jakiejś mutacji? Nie tylko Budda czy Jezus. Lub święty Franciszek. Są ślady historyczne, świeże: Mahatma Gandhi, Martin Luther King, wielki lekarz Albert Schweitzer, Janusz Korczak...Może to są takie początki jakiejś, takie nieśmiałe wypustki, które w ten sposób próbują zaistnieć?

Gdyby wiedza o tym, kim jesteśmy, stała się własnością ogółu, byłaby to właściwie połowa sukcesu. Jak dotąd nasze potrzeby kierowane są jednak w zupełnie martwe pola, ku interesom innych ludzi — tych prowadzących ławice, którzy często nie chcą wcale odróżniać dobra od zła, lecz gotowi są wykorzystywać naszą naiwność, biologiczne potrzeby i ewolucyjne uwarunkowania ludzkich mas. Nasze własne, piękne, grupowe potrzeby dobra bywają w wielu sytuacjach zadeptywane, a dzieje się to bez świadomości zachodzących przekłamań, o których próbowałem tutaj mówić.

JULIA PIOTROWSKA Bardzo dziękuję za rozmowę

JACEK OLSZEWSKI Ja również dziękuję. I zapamiętajmy słowa Konrada Lorenza: „Tak długo poszukiwane ogniwo pośrednie między zwierzęciem a prawdziwie ludzkim człowiekiem — to właśnie my.”

ANTEK ILSKI

PYTA

O ZŁO W INTERNECIE?

Antoni Ilski Kuzynie, wiem, że spędzasz sporo czasu w internecie i interesujesz się tym, jak media wpływają na ludzi. Dlatego chciałbym przeprowadzić z Tobą rozmowę właśnie na temat zła w internecie i mediach.

Norbert Hołowacz Bardzo chętnie. To temat, który dotyczy dziś właściwie każdego z nas, szczególnie młodych ludzi.

Antoni Ilski Zacznijmy od pierwszego pytania. Czy Twoim zdaniem hejt w internecie można uznać za współczesną formę zła?

Norbert Hołowacz Myślę, że zdecydowanie tak. Hejt często prowadzi do przykrych konsekwencji dla osób, które stają się jego ofiarami. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że obraźliwy komentarz napisany w kilka sekund może kogoś zranić na bardzo długo. Zło nie zawsze musi mieć formę przemocy fizycznej – czasem wystarczy słowo, które wyrządza krzywdę.

Antoni Ilski To prawda. A skoro już mówimy o zachowaniu ludzi w sieci, zastanawia mnie jedna rzecz. Dlaczego ludzie w internecie często zachowują się gorzej niż w rzeczywistości?

Norbert Hołowacz Wydaje mi się, że duży wpływ ma odległość między ludźmi. Kiedy rozmawiamy z kimś twarzą w twarz, widzimy jego reakcje i emocje, dlatego łatwiej odczuwamy empatię. W internecie tego brakuje. Niektórzy mają też poczucie, że ich słowa nie mają większych konsekwencji, przez co pozwalają sobie na więcej niż podczas zwykłej rozmowy.

Antoni Ilski Skoro wspomniłeś o poczuciu bezkarności, to prowadzi mnie do kolejnego pytania. Czy anonimowość w internecie zwiększa skłonność do czynienia zła?

Norbert Hołowacz Moim zdaniem tak. Jeśli ktoś ukrywa się za pseudonimem, często czuje się bezpieczniej i mniej odpowiedzialny za swoje działania. Oczywiście anonimowość sama w sobie nie jest zła, ponieważ czasem chroni prywatność użytkowników. Problem pojawia się wtedy, gdy staje się usprawiedliwieniem dla obrażania innych lub rozpowszechniania szkodliwych treści.

Antoni Ilski Rozumiem. A przechodząc nieco szerzej do tematu mediów, jak wpływają one na postrzeganie przemocy i agresji?

Norbert Hołowacz Media mają ogromny wpływ na to, jak patrzymy na świat. Jeśli przemoc jest często pokazywana w filmach, programach czy mediach społecznościowych, niektórzy mogą zacząć traktować ją jako coś normalnego. Z drugiej strony media mogą również edukować i pokazywać skutki agresji. Wszystko zależy od tego, jakie treści oglądamy i w jaki sposób są one przedstawiane.

Antoni Ilski W ostatnich latach bardzo popularne stały się też memy. Wiele z nich ma charakter żartobliwy, ale czy internetowe memy mogą czasem przekraczać granicę i stać się formą krzywdzenia innych?

Norbert Hołowacz Oczywiście. Sam mem nie jest niczym złym, ponieważ humor jest potrzebny. Jednak zdarzają się sytuacje, gdy ktoś staje się obiektem kpin bez swojej zgody. Jeśli żart poniża, ośmiesza lub wywołuje u kogoś cierpienie, przestaje być niewinną zabawą. Wtedy taka treść może stać się formą krzywdzenia drugiego człowieka.

Antoni Ilski To bardzo ciekawe spojrzenie. W związku z tym często pojawiają się głosy, że internet powinien być bardziej kontrolowany. Czy uważasz, że powinno być więcej kontroli treści publikowanych w sieci?

Norbert Hołowacz Myślę, że w pewnym stopniu tak. Treści nawołujące do przemocy, szerzące nienawiść czy dezinformację powinny być ograniczane. Dzięki temu internet byłby bezpieczniejszym miejscem dla użytkowników. Ważne jest jednak, aby takie działania były rozsądne i przejrzyste.

Antoni Ilski No właśnie, bo pojawia się tutaj pewna wątpliwość. Czy większa kontrola treści nie ograniczałaby jednocześnie wolności użytkowników?

Norbert Hołowacz To chyba najtrudniejsza kwestia. Z jednej strony chcemy chronić ludzi przed szkodliwymi treściami, a z drugiej nie możemy całkowicie ograniczać swobody wypowiedzi. Najlepszym rozwiązaniem wydaje mi się znalezienie równowagi między bezpieczeństwem a wolnością. Oprócz kontroli bardzo ważna jest też edukacja użytkowników, aby sami potrafili odpowiedzialnie korzystać z internetu.

Antoni Ilski Dziękuję za rozmowę, kuzynie. Myślę, że poruszyliśmy wiele ważnych kwestii związanych ze złem w internecie i mediach. Mam nadzieję, że takie tematy będą skłaniały ludzi do większej odpowiedzialności za swoje zachowanie w sieci.

Norbert Hołowacz Ja również dziękuję. Warto o tym rozmawiać, ponieważ internet jest częścią naszego życia i to od nas zależy, czy będzie miejscem pełnym szacunku, czy źródłem problemów dla innych.



PAULA MUNOZ-ZYGMUNT

CZY ZŁO

JEST NIEODŁĄCZNYM ELEMENTEM LUDZKIEGO ŻYCIA?

Zło towarzyszy człowiekowi od zawsze. Trudno wyobrazić sobie świat całkowicie od niego wolny, a jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, czy taki świat byłby w ogóle możliwy. Choć zło kojarzy się przede wszystkim z cierpieniem i krzywdą, jego obecność skłania ludzi do refleksji nad własnymi wyborami, odpowiedzialnością i granicami wolności. Zamiast więc zastanawiać się nad tym, jak całkowicie usunąć zło z naszego życia, warto zadać sobie pytanie, dlaczego ono istnieje i czy rzeczywiście moglibyśmy funkcjonować bez niego.

Na początku warto zauważyć, że samo pojęcie zła nie jest jednoznaczne. To, co dla jednych ludzi wydaje się oczywistym złem, dla innych może być czymś normalnym lub akceptowalnym. Nasze rozumienie dobra i zła zależy przecież od kultury, religii, wychowania czy indywidualnych przekonań. W różnych częściach świata obowiązują odmienne normy moralne, dlatego trudno stworzyć jedną, uniwersalną definicję zła. Właśnie ta niejednoznaczność pokazuje, że nie da się po prostu usunąć zła z rzeczywistości, nie naruszając przy tym pewnej równowagi, na której opiera się ludzkie życie.

Interesującą próbę wyjaśnienia tego problemu podjął Gottfried Wilhelm Leibniz. Filozof twierdził, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, a istnienie zła jest ceną wolności. Człowiek może wybierać dobro tylko dlatego, że ma również możliwość wyboru zła. Gdyby ludzie byli pozbawieni wolnej woli i działali niczym zaprogramowane mechanizmy, ich dobre uczynki nie miałyby większej wartości. To właśnie możliwość wyboru nadaje sens moralności. Według Leibniza świat zamieszkały przez istoty wolne jest cenniejszy od

świata całkowicie pozbawionego zła, ale jednocześnie pozbawionego wolności. Oczywiście teoria ta odnosi się przede wszystkim do zła moralnego, które wynika ze świadomych decyzji człowieka. Trudniej wyjaśnić za jej pomocą zło fizyczne czy metafizyczne. Mimo to filozof zwraca uwagę na bardzo ważną kwestię: dobro nabiera znaczenia właśnie dlatego, że istnieje jego przeciwieństwo. Gdyby człowiek nigdy nie miał możliwości postąpić źle, jego dobre wybory nie miałyby żadnej wartości.

Ciekawą refleksję nad naturą zła odnajdujemy również w mitologii greckiej. Mity nie były jedynie fantastycznymi opowieściami, lecz próbą wyjaśnienia świata i ludzkiej natury. Jednym z najbardziej znanych jest mit o Pandorze. Według tej historii Zeus stworzył Pandorę i przekazał jej glinianą puszkę, zabraniając jej otwierania. Kobieta nie potrafiła jednak oprzeć się ciekawości. Gdy uchyliła wieko, na świat wydostały się choroby, cierpienie, zbrodnie i wszelkie nieszczęścia. Opowieść ta można odczytać jako próbę wyjaśnienia, skąd bierze się zło i dlaczego stało się częścią ludzkiego życia. Co ciekawe, zło nie zostało w tym micie stworzone przez człowieka. Istniało już wcześniej, lecz pozostawało ukryte. Dopiero ludzka ciekawość, pokusa i słabość sprawiły, że rozprzestrzeniło się po świecie. Można więc uznać, że człowiek nie jest wyłącznie ofiarą zła, ale również współuczestnikiem procesu jego uwalniania.

Podsumowując, zło jest nieodłącznym elementem ludzkiego życia. Choć często kojarzy się wyłącznie z cierpieniem i krzywdą, jego istnienie pozwala człowiekowi dokonywać moralnych wyborów, rozwijać się i świadomie opowiadać po stronie dobra. Zarówno filozofia Leibniza, jak i mit o Pan-

dorze pokazują, że świat pozbawiony zła niekoniecznie byłby światem lepszym. Byłby raczej światem pozbawionym wolności, odpowiedzialności i możliwości dokonywania świadomych wyborów. Dlatego naszym zadaniem nie jest

nierealna próba całkowitego usunięcia zła ze świata, lecz codzienne przeciwstawianie mu się poprzez mądrość, miłość i dobre decyzje. To właśnie w tej nieustannej walce najpełniej ujawnia się człowieczeństwo.

Leibniz i problem zła (DOPOWIEDŹ)



Paula w swoim tekście zwróciła uwagę na filozofię Gottfrieda Wilhelma Leibniza, który podjął próbę odpowiedzi na jedno z najtrudniejszych pytań stawianych przez człowieka: dlaczego w świecie istnieje zło? Pytanie to wydaje się szczególnie istotne, jeśli przyjmiemy, że świat został stworzony przez dobrego i wszechmocnego Boga. Skąd zatem biorą się cierpienie, wojny, choroby i ludzkie nieszczęścia?

Leibniz uważał, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów. Teza ta może budzić zdziwienie, zwłaszcza gdy spojrzymy na historię pełną przemocy i tragedii. Filozof nie twierdził jednak, że świat jest doskonały. Jego zdaniem spośród wszystkich możliwych rzeczywistości Bóg wybrał taką, w której dobro może realizować się najpełniej, nawet jeśli wiąże się to z istnieniem zła.

Kluczowym elementem tej koncepcji jest wolność człowieka. Według Leibniza ludzie muszą mieć możliwość wyboru pomiędzy dobrem a złem. Gdyby byli zdolni jedynie do czynienia dobra, przypominaliby raczej mechanizmy niż istoty rozumne i odpowiedzialne za własne decyzje. Dobro ma wartość właśnie dlatego, że człowiek może również postąpić niewłaściwie. Zło staje się więc ceną wolnej woli i moralnej odpowiedzialności.

Poglądy Leibniza spotkały się jednak z krytyką. Najbardziej znaną polemikę odnajdujemy w „Kandydzie” Woltera. Bohater utworu nieustannie słyszy, że żyje w najlepszym z możliwych światów, a jednocześnie doświadcza kolejnych tragedii, nieszczęść i absurdów. Wolter z dużą ironią pokazuje, że optymistyczne teorie filozoficzne nie zawsze wytrzymują zderzenie z rzeczywistością. W ten sposób podważa przekonanie, że każde zło można łatwo usprawiedliwić istnieniem jakiegoś wyższego planu.

Spór między Leibnizem a Wolterem pozostaje aktualny także dzisiaj. Z jednej strony człowiek pragnie wierzyć, że świat ma sens i ukryty porządek. Z drugiej trudno pogodzić się z ogromem cierpienia obecnego w historii i codziennym życiu. Być może właśnie dlatego teodycea Leibniza do dziś budzi zainteresowanie filozofów i zwykłych ludzi. Nie daje ostatecznych odpowiedzi, ale skłania do refleksji nad wolnością, odpowiedzialnością i miejscem człowieka w świecie, w którym dobro i zło nieustannie się przeplatają. (kch)

MIKOŁAJ BADOWSKI

Czy człowiek jest źródłem zła, czy raczej jego ofiarą?

Zło od zawsze towarzyszy człowiekowi. Widać je w historii, literaturze, filmach, ale także w codziennym życiu. Nic więc dziwnego, że od wieków ludzie próbują odpowiedzieć na pytanie, skąd się ono bierze. Czy to człowiek jest źródłem zła, czy może częściej staje się jego ofiarą? Czy rodzi się ze skłonnością do czynienia zła, czy też wpływają na nas doświadczenia i środowisko, w którym dorastamy?

Wielu ludzi przychodzi na świat jako osoby wrażliwe i dobre, jednak trudne doświadczenia potrafią ich zmienić. Człowiek, który od najmłodszych lat doświadcza przemocy, biedy lub odrzucenia, może z czasem utracić zaufanie do innych i zacząć reagować agresją. Nie oznacza to jednak, że od początku był zły. Często to właśnie świat wokół niego sprawia, że staje się kimś innym. Dobrym przykładem są dzieci wychowujące się w rodzinach dotkniętych przemocą. Nierzadko w dorosłym życiu powielają zachowania, które obserwowały od najmłodszych lat, ponieważ nie znają innych wzorców.

Taki problem ukazuje film *Biała wstążka*. Michael Haneke przedstawia w nim dzieci wychowywane w surowym i brutalnym środowisku. Doświadczają one przemocy psychicznej i fizycznej, żyjąc w ciągłym strachu. Reżyser pokazuje, że młodzi ludzie nie rodzą się źli. To brak miłości, poczucia bezpieczeństwa i szacunku może sprawić, że sami zaczną krzywdzić innych. Film sugeruje więc, że człowiek bardzo często najpierw staje się ofiarą zła stworzonego przez innych ludzi.

Człowiek bywa również ofiarą zła dlatego, że nie ma wpływu na wielkie wydarzenia historyczne, decyzje polityczne czy działania ludzi posiadających władzę. Nawet jeśli sam postępuje uczciwie i nikomu nie wyrządza krzywdy,

może zostać wciągnięty w sytuację, która odbiera mu bezpieczeństwo, wolność, a czasem nawet życie. W takich przypadkach zło nie wynika z jego działań, lecz zostaje narzucone z zewnątrz.

Dobrym przykładem jest film *Pianista* w reżyserii Romana Polańskiego. Jego bohater, Władysław Szpilman, jest zwykłym człowiekiem, który bez własnej winy zostaje uwikłany w tragedię II wojny światowej. W wyniku okupacji traci rodzinę, dom i możliwość normalnego życia. Zmuszony do ukrywania się w ruinach Warszawy, każdego dnia walczy o przetrwanie. Historia Szpilmana pokazuje, że człowiek może paść ofiarą zła tworzonego przez innych ludzi i całe systemy polityczne. Jest bezradny wobec przemocy, która niszczy jego świat.

Granica między sprawcą a ofiarą zła nie zawsze jest jednak wyraźna. Zdarza się, że człowiek sam podejmuje złe decyzje i krzywdzi innych, ale równie często zostaje uwikłany w sytuację, na które nie ma wpływu. Historia, wychowanie czy działania innych ludzi mogą w znaczący sposób kształtować jego postawy. Dlatego trudno jednoznacznie stwierdzić, że człowiek jest wyłącznie źródłem zła albo jedynie jego ofiarą. W rzeczywistości obie te role często się przenikają, a wiele zależy od okoliczności, w jakich przychodzi mu żyć.



JAN TRYZYBOWICZ

Czy zło jest nieodłącznym elementem ludzkiego życia?

Od wieków ludzie zastanawiają się, czym właściwie jest zło i czy możliwe byłoby całkowite usunięcie go z ludzkiego życia. Moim zdaniem jest ono nieodłącznym elementem naszej egzystencji, ponieważ pojawia się wszędzie tam, gdzie istnieje wolna wola i możliwość dokonywania wyborów. Choć zło najczęściej kojarzy się z cierpieniem i krzywdą, to właśnie dzięki jego obecności łatwiej dostrzec wartość dobra i zrozumieć znaczenie odpowiedzialności za własne czyny.

Zło może przybierać bardzo różne formy. Nie zawsze oznacza wielkie przestępstwa czy akty przemocy. Często ujawnia się w codziennych sytuacjach: w kłamstwie, egoizmie, lenistwie czy wykorzystywaniu innych dla własnych korzyści. Człowiek nie jest istotą doskonałą, dlatego nieustannie mierzy się z pokusami i własnymi słabościami. To właśnie możliwość wyboru między dobrem a złem sprawia, że moralne decyzje mają znaczenie. Gdyby zło nie istniało, nie byłoby potrzeby dokonywania wyborów ani wysiłku związanego z postępowaniem zgodnym z własnym sumieniem.

Dobrym przykładem konfliktu dobra i zła jest seria filmów *Star Wars*. W przedstawionym tam świecie trwa nieustanna walka pomiędzy Imperium a rebeliantami. Imperium dąży do utrzymania porządku i kontroli, jednak często osiąga

swoje cele za pomocą przemocy i strachu. Rebelianci natomiast walczą o wolność i sprawiedliwość. Szczególnie interesująca jest historia Anakina Skywalkera, który stopniowo ulega ciemnej stronie Mocy i staje się Darthem Vaderem. Jego los pokazuje, że zło nie pojawia się nagle. Rodzi się z lęku, gniewu oraz pragnienia władzy. Jednocześnie bohater ostatecznie wraca do dobra, co dowodzi, że nawet po popełnieniu wielu błędów człowiek nadal może dokonać właściwego wyboru.

Podobny problem porusza film *Avatar* Jamesa Camerona. Konflikt między ludźmi a mieszkańcami Pandory nie jest jedynie prostym starciem dobra ze złem. Ludzie pragną zdobyć cenne surowce i osiągnąć własne cele, często kosztem natury oraz życia innych istot. Film pokazuje, że źródłem zła może być chciwość, brak szacunku dla świata i przekonanie, że własne interesy są ważniejsze od dobra innych. Jednocześnie główny bohater, Jake Sully, decyduje się stanąć po stronie słabszych i przeciwstawić niesprawiedliwości. Jego postawa przypomina, że człowiek nie jest z góry skazany na zło, a podejmowane przez niego decyzje mają realny wpływ na otaczającą rzeczywistość.

Uważam, że zło jest nieodłącznym elementem ludzkiego życia, ponieważ wynika z wolności wyboru oraz niedoskonałej natury człowieka. Nie oznacza to jednak, że należy się z nim godzić. Wręcz przeciwnie — jego obecność przypomina o odpowiedzialności za własne decyzje i sprawia, że dobro staje się świadomym wyborem, a nie czymś oczywistym. To właśnie codzienne wybory pokazują, kim jesteśmy i jakie wartości są dla nas najważniejsze.



STASZEK BISKOT-JENDA

ROZMAWIA Z BRATEM O TYM, CZY JEST ZŁO

Staszek: Ostatnio zastanawiałem się nad pewną kwestią. Jak sądzisz – człowiek rodzi się ze skłonnością do zła, czy też zło pojawia się dopiero pod wpływem wychowania i otoczenia?

Brat: To trudne pytanie na początek. Wydaje mi się, że każdy człowiek nosi w sobie pewne skłonności, które mogą prowadzić zarówno do dobra, jak i do zła. To jednak od środowiska oraz własnych wyborów zależy, w jaki sposób zostaną one rozwinięte.

Staszek: Czyli nie uważasz, że ktoś może urodzić się zły?

Brat: Nie. Raczej rodzi się z różnymi instynktami. Małe dziecko bywa egoistyczne, ponieważ koncentruje się przede wszystkim na własnych potrzebach, ale nie nazwałbym tego złem.

Staszek: Z drugiej strony znamy przypadki ludzi wychowanych w dobrych warunkach, którzy później dopuszczali się strasznych czynów.

Brat: To prawda. Dlatego samo wychowanie nie tłumaczy wszystkiego. Każdy człowiek ponosi odpowiedzialność za własne decyzje i dokonywane wybory.

Staszek: To prowadzi do kolejnego pytania. Co jest większym zagrożeniem: zło popełniane przez jednostkę czy przez cały system?

Brat: Zdecydowanie system. Jeden człowiek może skrzywdzić kilka osób, ale źle funkcjonujący system potrafi skrzywdzić miliony.

Staszek: Masz na myśli państwa, ideologie i organizacje?

Brat: Tak. Historia pokazuje, że największe tragedie były często organizowane przez całe struktury. Ludzie wykonywali rozkazy, a odpowiedzialność ulegała rozproszeniu.

Staszek: Ale przecież system nie działa sam z siebie. Tworzą go ludzie.

Brat: Dokładnie. Dlatego nie można całej winy zrzucać na system. Każdy człowiek, będący jego częścią, podejmuje konkretne decyzje.

Staszek: Czasami mam wrażenie, że ludzie czynią zło, ponieważ są przekonani, że robią coś dobrego.

Brat: I właśnie to jest najbardziej niebezpieczne.

Staszek: Dlaczego?

Brat: Bo jeśli ktoś ma świadomość, że czyni zło, przynajmniej zdaje sobie sprawę z własnej winy. Natomiast człowiek przekonany, że działa dla dobra innych, potrafi usprawiedliwić niemal wszystko.

Staszek: Czyli można czynić zło w imię dobrych intencji?

Brat: Oczywiście. Historia pełna jest takich przykładów. Wielu ludzi było przekonanych, że buduje lepszy świat, a ich działania kończyły się tragedią.

Staszek: To trochę przerażające. Wynika z tego, że samo przekonanie o własnej słuszności nie jest gwarancją moralności.

Brat: Wręcz przeciwnie. Czasami może być nawet sygnałem ostrzegawczym.

Staszek: A jak myślisz, gdzie przebiega granica między zwykłym zachowaniem a walką o przetrwanie?

Brat: W sytuacjach ekstremalnych ta granica bardzo się zaciera.

Staszek: Masz na myśli wojny, katastrofy czy klęski głodu?

Brat: Tak. W codziennym życiu łatwo oceniać innych. Jednak gdy ktoś walczy o życie własne lub swoich bliskich, zaczyna podejmować decyzje, których wcześniej nawet by nie rozważał.

Staszek: Czyli nie możemy być pewni, jak sami zachowalibyśmy się w takich okolicznościach?

Brat: Dokładnie. Ludzie często przeceniają swoją odporność moralną.

Staszek: To przypomina mi, że w wielu historiach zło nie pojawia się nagle. Rozwija się stopniowo.

Brat: I właśnie dlatego jest tak groźne.

Staszek: Myślisz, że największe zło zaczyna się od niewielkich kompromisów?

Brat: Bardzo często. Najpierw człowiek mówi sobie: „To nic wielkiego”. Potem powtarza to drugi raz, trzeci, a z czasem przestaje dostrzegać granicę.

Staszek: Aż w końcu robi coś, czego kiedyś by się wstydził.

Brat: Właśnie tak. Każdy kolejny krok wydaje się mniej znaczący, ponieważ człowiek przyzwyczaja się do poprzedniego.

Staszek: Czyli największe zbrodnie mogą mieć bardzo niepozorny początek.

Brat: Dlatego trzeba uważać na drobne ustępstwa wobec własnego sumienia.

Staszek: Skoro już o tym rozmawiamy, zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia. Czy brak reakcji na zło również może być formą zła?

Brat: To jedno z najtrudniejszych pytań.

Staszek: Dlaczego?

Brat: Ponieważ nie zawsze mamy możliwość zareagowania. Czasami sami znajdujemy się w sytuacji zagrożenia.

Staszek: A jeśli możemy coś zrobić, a mimo to świadomie odwracamy wzrok?

Brat: Wtedy, moim zdaniem, ponosimy część odpowiedzialności. Obojętność bardzo często pomaga złu bardziej niż otwarte poparcie.

Staszek: Mocne stwierdzenie.

Brat: Zastanów się. Jeśli wszyscy uczciwi ludzie milczą, kto pozostaje?

Staszek: Ci, którzy nie mają oporów przed działaniem.

Brat: Właśnie tak.

Staszek: A jak oceniasz rolę religii? Czy pomaga człowiekowi walczyć ze złem?

Brat: Dla wielu ludzi z pewnością tak.

Staszek: Dzięki zasadom moralnym?

Brat: Między innymi. Religia może dawać poczucie sensu, budować wspólnotę i motywować do czynienia dobra.

Staszek: Bywa jednak również wykorzystywana do usprawiedliwiania przemocy.

Brat: Niestety. Sama religia nie gwarantuje dobra. Wszystko zależy od tego, jak ludzie ją rozumieją i w jaki sposób wykorzystują.

Staszek: Czyli może stać się zarówno narzędziem dobra, jak i zła?

Brat: Tak samo jak ideologia, nauka czy polityka. Każda potężna idea może zostać wykorzystana na różne sposoby.

Staszek: Ostatnio czytałem o tym, że każdy człowiek nosi w sobie pewną ciemność.

Brat: Zgadzam się z tym stwierdzeniem.

Staszek: Naprawdę uważasz, że dotyczy to każdego?

Brat: Tak. Nie oznacza to oczywiście, że każdy człowiek jest zły. Chodzi raczej o to, że każdy posiada zdolność do czynienia zła.

Staszek: Nawet osoby, które wydają się wyjątkowo dobre?

Brat: Właśnie one nie powinny o tym zapominać. Świadomość własnych słabości chroni przed pychą i poczuciem moralnej wyższości.

Staszek: Czyli zło nie jest czymś całkowicie obcym ludzkiej naturze?

Brat: Moim zdaniem nie. Każdy człowiek musi nieustannie pracować nad sobą.

Staszek: To dość pesymistyczna wizja człowieka.

Brat: Niekoniecznie. Skoro posiadamy zdolność do czynienia zła, mamy również zdolność do czynienia dobra. Najważniejsze jest to, którą stronę swojej natury rozwijamy.

Staszek: W takim razie dochodzimy do ostatniego pytania. Czy zło jest niezbędnym elementem współczesnego świata?

Brat: Nie wiem, czy można powiedzieć, że jest niezbędne.

Staszek: Ale?

Brat: Myślę, że jest nieuniknione. Tak długo, jak człowiek posiada wolność wyboru, istnieje również możliwość czynienia zła.

Staszek: Czy bez zła moglibyśmy naprawdę zrozumieć, czym jest dobro?

Brat: To interesujący argument. Wielu filozofów właśnie tak uważało.

Staszek: A ty? Co o tym sądzisz?

Brat: Uważam, że dobro miałoby wartość nawet wtedy, gdyby zło nie istniało. Jednak obecność zła sprawia, że wybór dobra staje się czymś świadomym, wymagającym wysiłku i odpowiedzialności.

Staszek: Czyli dobro nie polega na tym, że nie mamy innej możliwości.

Brat: Właśnie tak. Ma sens dlatego, że zawsze możemy postąpić inaczej.

Staszek: Im dłużej rozmawiamy, tym bardziej dochodzę do wniosku, że zło nie jest czymś odległym.

Brat: Bo nie jest. Nie mieszka wyłącznie w przestępcach, tyranach czy bohaterach książek.

Staszek: Tylko w zwykłych ludziach?

Brat: Tak. W każdym z nas istnieje zarówno możliwość dobra, jak i zła. To nasze codzienne decyzje sprawiają, że jedna z tych stron staje się silniejsza.

Staszek: Czyli najważniejsze nie jest pytanie o to, skąd bierze się zło, lecz jak mu przeciwdziałać.

Brat: Dokładnie. Nawet jeśli nie znamy wszystkich odpowiedzi, możemy starać się wybierać dobro, reagować na krzywdę i nie usprawiedliwiać własnych błędów.

Staszek: Brzmi prosto, ale mam wrażenie, że właśnie to jest najtrudniejsze.

Brat: I dlatego ten temat pozostaje aktualny od tysięcy lat.

Staszek: Myślę, że na tym możemy zakończyć naszą rozmowę. Dziękuję za poświęcony czas.

Brat: To ja dziękuję. Do zobaczenia.

TATIANA HUMMEL

Oscar Wilde.

Życie prywatne i jego wpływ na twórczość artysty

Początki Oscara Wilde'a

Oscar Wilde urodził się 16 października 1854 roku w Dublinie. Od dzieciństwa literatura odgrywała w jego życiu dużą rolę. Jego ojciec, lekarz William Wilde, pisał książki o swoich podróżach. Z kolei matka Oscara, Jane Wilde, posługująca się płynnie pięcioma językami, tworzyła w młodości poezję i artykuły polityczne, a po ślubie zajęła się tłumaczeniem powieści francuskich i niemieckich na język angielski.

Uzdolniony plastycznie i literacko Oscar zawsze uważał, że został stworzony do wielkich rzeczy. W czasach studenckich (1874–1878) osiągnął wiele sukcesów, wliczając w to kilkukrotne zdobycie stypendium oraz wyróżnienia za swoje prace pisemne. Dopiero jednak gdy dotarły do niego tragiczne wieści o śmierci Charlesa Dickensa, ostatecznie zdecydował się poświęcić literaturze. Ciężko pracował nad swoim warszatem pisarskim i wiódł życie samotnika, stroniąc od towarzystwa rówieśników.

Interesował się starożytną Grecją i antycznymi wierzeniami. Pałał ogromną miłością do Szekspira, a niektóre jego dzieła potrafił cytować z pamięci. Każdą wolną chwilę spędzał na podróżach, podczas których zachwycał się galeriami, muzeami i pałacami. Po przeprowadzce na stałe do Londynu rozwijał swoją fascynację teatrem i dramatem, chodził na premiery oraz nawiązywał znajomości z aktorami. W pewnym momencie zakochał się nawet w jednej z aktorek, która później stała się inspiracją dla postaci Sybilli Vane w jego powieści *Portret Doriana Graya* (*The Picture of Dorian Gray*).

Oscar zawsze miał do siebie duży dystans. Kiedy w Londynie wystawiono operę *Patience*, wyśmiewającą cały ruch estetyzmu, którego Wilde był bez wątpienia jednym z najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli, pisarz sam pojawił się na premierze i śmiał się razem z resztą widowni. Był znany ze swojego poczucia humoru i ekstrawagancji, widocznych zarówno w zachowaniu, jak i późniejszej twórczości, zwłaszcza gdy zaczął pisać komedie. Ta pozorna lekkość ducha skrywała jednak prawdziwą naturę Wilde'a, który wcale nie był tak pogodnym człowiekiem, za jakiego chciał uchodzić.

Przełomem wyrywającym go z codziennego przygnębienia był ślub z poznaną niedawno Constance Lloyd w 1884 roku. Już dwa lata później małżeństwo doczekało się dwóch synów – Cyrila (1885) i Vyvyana (1886). Oscar był wówczas głęboko zakochany w żonie, która wydawała mu się kobietą idealną. Z czasem jednak pierwsze uniesienie minęło, a artysta powrócił do szarej codzienności.

Wydarzeniem, które na dobre zmieniło bieg jego życia, było odnalezienie rękopisu pracy napisanej jeszcze w czasach studenckich. Sprawilo to, że poczuł, jak pustka, którą od dawna odczuwał, powoli ustępuje miejsca twórczej inspiracji. Pierwszym utworem powstałym pod wpływem tej nowej motywacji był dialog *Krytyk jako artysta* (*The Critic as an Artist*), a następnie – gdy Wilde'owi zasugerowano napisanie pełnej powieści – w 1890 roku powstał *Portret Doriana Graya*.

Portret Doriana Graya

Pisząc tę książkę, Oscar Wilde inspirował się swoimi dawnymi przeżyciami, a także książkami, które niegdyś wywołały w nim niezwykle silne emocje. Najważniejszą z nich była francuska powieść *Na wspak* (*À rebours*) autorstwa Jorisa-Karla Huysmansa, nazywana przez niektórych biblią dekadentyzmu. W 1884 roku zrobiła ona na Wildzie piorunujące wrażenie i tchnęła w niego uczucia, które, obudzone po raz kolejny sześć lat później, przyczyniły się do powstania *Portretu Doriana Graya*.

Powieść Oscara była jego odpowiedzią na utwór Francuza. W jednym z rozdziałów Dorian czyta książkę, która staje się jego obsesją i od której nie może się oderwać, bez przerwy doszukując się w niej nowych znaczeń. Możemy przypuszczać, że jest to właśnie *Na wspak*, a tytułowy bohater powieści odzwierciedla fascynację samego Wilde'a.

Ważną rolę w tym utworze odgrywa relacja Doriana Graya i jego przyjaciela – Basila Hallwarda, autora tytułowego portretu. Obraz ten jest najwybitniejszym dziełem malarza, jednak ten nie chce go nigdzie wystawić ani sprzedać. Basil jest zakochany w Dorianie i boi się, że ktoś dostrzeże to uczucie, patrząc na obraz, ponieważ, jak sam kiedyś powiedział: „Każdy portret namalowany z uczuciem jest portretem artysty, a nie pozującego” (Cytat z *Portretu Doriana Graya* w tłumaczeniu Jerzego Łozińskiego)

Idąc za tą myślą, możemy zinterpretować samą powieść Oscara Wilde'a jako lustro jego wnętrza. Zawarte są w niej najważniejsze dla autora idee i motywy, takie jak charakterystyczne dla modernizmu estetyzm i dekadentyzm. Pisarz sam mówił, że kultywował pederastię – wywodzący się ze starożytnej Grecji szczególny rodzaj homoseksualizmu męskiego, oparty na różnicy wieku – co można zaobserwować nie tylko w jego biografii, ale także w twórczości.

Umieszczając w *Portrecie Doriana Graya* bliskie swemu sercu uczucia i filozofie, Wilde przelał na karty tej powieści część samego siebie. To sprawia, że do dziś pozostaje ona swego rodzaju wizytówką autora i jego najbardziej rozpoznawalnym dziełem. Nie zawsze jednak książka spotykała się z aprobatą czytelników.

Tuż po publikacji na Oscara Wilde'a spłynęła fala krytyki, a powieść wywołała zgorszenie wśród odbiorców. Kolejne wydanie zostało zmienione w taki sposób, aby wątki homoerotyczne nie były aż tak uwypuklone, ponieważ to właśnie one stały się główną przyczyną oburzenia. Sam autor próbował odpowiadać na głosy krytyczne, jednocześnie pokazując się publicznie ze swoim ówczesnym kochankiem – młodym poetą Johnem Grayem – co nie łagodziło kontrowersji. Wiele osób uważało młodzieńca za inspirację dla postaci Doriana, jednak obaj mężczyźni temu zaprzeczali, twierdząc, że poznali się już po napisaniu *Portretu Doriana Graya*.

Lord Alfred Douglas

W 1891 roku Oscarowi Wilde'owi przedstawiono młodego autora. Był nim Lord Alfred Bruce Douglas, znany jako Bosie. Mężczyźni bardzo szybko się zaprzyjaźnili. Młodzieniec wysyłał Oscarowi swoje prace do oceny, a ten – choć nie uważał ich za szczególnie dobre – zawsze go chwalił.

Z czasem rozwinęła się między nimi relacja romantyczna. Wspólnie podróżowali po Europie, zatrzymując się na krótko w bardziej znaczących miastach. Zwiedzali pałace, kościoły i muzea we Włoszech oraz we Francji.

Związek Oscara i Bosiego był bardzo burzliwy. Zwykle oszczędny Wilde, pod wpływem prośb i coraz większych wymagań Bosiego, wydawał na niego ogromne sumy pieniędzy. Starał się nigdy nie wypominać mu tego wprost, jednak temat ten wielokrotnie powracał podczas ich kłótni. Im więcej czasu spędzali razem, tym bardziej Wilde zdawał się dostrzegać, że chłopak nie jest wybitnym poetą ani myślicielem, lecz jedynie kolejnym uprzywilejowanym przedstawicielem swojej rodziny – rodu Queensberry. Mężczyźni wielokrotnie znajdowali się na granicy rozstania, lecz ostatecznie zawsze do siebie wracali.

Jednym z punktów zapalnych ich konfliktów była tragedia Oscara *Salomé*, napisana po francusku, którą Bosie tłumaczył na język angielski. Wilde uważał, że młodzieniec dodaje do tekstu fragmenty niemające nic wspólnego z oryginałem. Ostatecznie tłumaczenie opublikowano w 1894 roku, a wydanie to zostało zilustrowane przez Aubrey'a Beardsleya.

Podczas trwania relacji z Douglasem spod pióra pisarza wyszło również kilka komedii: *Wachlarz Lady Windermere* (*Lady Windermere's Fan*), *Kobieta bez znaczenia* (*A Woman of No Importance*), *Mąż idealny* (*An Ideal Husband*) oraz *Bądźmy poważni na serio* (*The Importance of Being Earnest*). Każdy z tych utworów jest pełen miłosnych intryg, zwrotów akcji i typowego dla Wilde'a poczucia humoru. Ostatni z nich – często uznawany za najlepszą komedię autora – powstał w okresie jednej z najpoważniejszych kłótni z Bosiem.

W lutym 1895 roku oburzony relacją swojego syna z Wildem markiz Queensberry zostawił dla pisarza wizytówkę z napisem: „To Oscar Wilde, posing sodomite”. Notatka – zawierająca błąd ortograficzny, ponieważ markiz dopisał w słowie „sodomite” dodatkowe „m” – oskarżała Wilde'a o sodomię, jak wówczas określano zachowania homoseksualne. Ignorując ostrzeżenia przyjaciół i kierując się radą Bosiego, pragnącego zemsty na ojcu, Wilde pozwał markiza Queensberry'ego za zniesławienie.

Proces Oscara Wilde'a

Markiz wiedział, że może wygrać proces jedynie wtedy, gdy udowodni, że jego oskarżenie nie było bezpodstawne. W tym celu jego prawnicy zatrudnili prywatnych detektywów, którzy szukali wszelkich dowodów na homoseksualizm Wilde'a. Odkryto wiele powiązań między Oscarem a męskimi prostytutkami oraz homoseksualnymi mężczyznami. Znalezione też listy jego autorstwa adresowane do Bosiego, który, ob-

chodząc się z nimi nieuważnie, zostawiał je w miejscach publicznych. Wszystkie zdobyte informacje zostały wykorzystane przeciwko pisarzowi podczas procesu.

Markiz Queensberry został uniewinniony i odesłany do domu. Wbrew radom przyjaciół, prawników i żony Oscar nie zdecydował się na ucieczkę z kraju. Niedługo później został aresztowany pod zarzutem czynów niemoralnych, a 6 kwietnia 1895 roku stanął przed sądem.

Przeciw Oscarowi Wilde'owi używano cytatów z *Portretu Doriana Graya*, a nawet z *Na wspak*. Ostatecznie powołano się również na wiersze Bosiego. Szczególną uwagę sędziego zwrócił na fragment utworu *Dwie miłości* (*Two Loves*), brzmiący następująco: „Miłość, która nie śmie wyjawiać swojej nazwy” (*The love that dare not speak its name*). Oscar powiedział:

„Miłość, która nie śmie wymówić swojej nazwy [...] jest to uczucie głębokie starszego mężczyzny do młodszego [...], które jest podstawą filozofii platońskiej, które odnajduje się w sonetach Michała Anioła i Szekspira. Jest to głębokie uczucie duchowe, równie czyste, jak doskonałe, które rodzi wielkie dzieła sztuki [...] niezrozumiałe w naszych czasach, niezrozumiałe do tego stopnia, że oto stoję teraz przed sądem. To jest piękne uczucie, uczucie wzniosłe, najszlachetniejsze i nie ma w nim nic przeciwnego naturze. [...] Świat nie rozumie tego, zniesławia i stawia pod pręgierz niewinnych ludzi.” (Fragment procesu Oscara Wilde'a w tłumaczeniu Jana Parandowskiego).

Ze względu na niejednogłośną decyzję ławy przysięgłych sprawa miała zostać ponownie rozpatrzona. Pozwolono Oscarowi spędzić czas przed kolejną rozprawą u brata, Willie'ego, podczas gdy jego żona i synowie mieszkali u krewnych Constance. Przyjaciele i żona Wilde'a nadal namawiali go do ucieczki, jednak pomysł ten zdecydowanie potępiali jego brat i matka. Oscar pisał w listach do Alfreda Douglasa: „Zniesławione imię, życie w nieustającej trwodze przed pościgiem – nie, to nie dla mnie [...]”.

25 maja 1895 roku, po kilku kolejnych dniach rozpraw, Oscar Wilde został skazany na dwa lata więzienia i ciężkich robót.

Pobyty w więzieniu

Pierwsze miesiące swojej kary Wilde odbywał w więzieniu Pentonville, a kilka następnych w Wandsworth. Ze względu na wyjątkowo niesprzyjające warunki nowego życia w głowie Oscara zaczęły pojawiać się myśli samobójcze. Z każdym dniem coraz bardziej pragnął śmierci. Nie pomagał mu fakt, że w więzieniu nie mógł ani pisać, ani nawet czytać.

W listopadzie 1895 roku został przeniesiony do więzienia Reading, gdzie pozwolono mu czytać Biblię, jednak nic poza tym. Sprawilo to, że Wilde odnalazł isierkę nadziei i po raz pierwszy w życiu rzeczywiście zainteresował się wiarą. Po jakimś czasie wydano zgodę na posiadanie przez niego książek, a nawet papieru i pióra. Pod koniec swojego pobytu w więzieniu Oscar napisał osiemdziesięciostronicowy list zaadresowany do Lorda Alfreda Douglasa. Wyrażał w nim swoje uczucia dotyczące ich relacji, wylewał żale, ale też rozprawiał na

temat sztuki i kultury XIX wieku. Później, w liście do swojego przyjaciela Roberta Rossa, prosząc o sporządzenie kopii tego tekstu, napisał:

„Przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie powiedzieć prawdę – niekoniecznie za mojego życia... ale nie mam zamiaru trwać wiecznie pod tym groteskowym pręgierzem, pod którym mnie postawiono...” (Fragment listu Oscara Wilde'a do Roberta Rossa w tłumaczeniu Jana Parandowskiego).

Już po śmierci Wilde'a list został opublikowany jako *De Profundis* (łac. *Z głębin*), a obecnie zalicza się go do najważniejszych i najpopularniejszych tekstów jego autorstwa.

Oscar Wilde został zwolniony z więzienia 19 maja 1897 roku po odbyciu całej kary. W trakcie jego pobytu w Reading żona zmieniła swoje nazwisko oraz nazwiska synów na Holland, aby ostatecznie odciąć się od skandalu związanego z mężem.

Ostatnie lata życia

„Nie myśl, że ciebie nie kocham. Z pewnością kocham cię bardziej niż kiedykolwiek. Lecz z naszego życia nieodwracalnie wyklęto wszelką możliwość spotkania. Została nam tylko świadomość, że się kochamy [...]”. (Fragment listu Oscara Wilde'a do Alfreda Douglasa w tłumaczeniu Jana Parandowskiego).

Takie słowa zawarł Wilde w jednym z listów do Douglasa. Po wyjściu z więzienia żył ubogo. Otrzymywał od żony comiesięczne wsparcie finansowe, lecz jedynie pod warunkiem, że nie będzie już spotykał się z Bosiem. Oscar złamał obietnicę i spędził kilka miesięcy z poetą. Później jednak Douglas, znudzony i zniechęcony życiem w biedzie, pozostawił go samego z narastającymi długami.

W 1898 roku ukazała się ostatnia książka Wilde'a wydana za jego życia. Największą inspiracją dla powstania *Ballady o więzieniu w Reading* (*The Ballad of Reading Gaol*) była historia Charlesa Wooldridge'a – skazanego na śmierć za zabójstwo żony współwięźnia Oscara. Opublikowany początkowo pod pseudonimem utwór wywołał sensację wśród czytelników. Dopiero siódme wydanie zostało opatrzone prawdziwym nazwiskiem autora, dzięki czemu Wilde na krótko wrócił do łask publiczności.

Jego zdrowie coraz bardziej się pogarszało, a wola życia stopniowo gasła. „A po co mam żyć, Robbie?” – mawiał do Rossa. Ostatnie miesiące życia spędził głównie w łóżku. 30 listopada 1900 roku Oscar Wilde zmarł z powodu zapalenia opon mózgowych.

BIBLIOGRAFIA

Jan Parandowski, *Król Życia*, 1930 (tytuł pierwszego wydania *Alchemia Życia*)

Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya*, 1890

Oscar Wilde, *De Profundis*, 1905

[Oscar Wilde, Wikipedia \(pl\)](#)

[Oscar Wilde, Wikipedia \(ang\)](#)

[Lord Alfred Douglas, Wikipedia](#)

[Niekoniecznie jasno pisane, Rubikony i punkty bez powrotu](#)

TYMON LEWANDOWSKI

RANA JEST ZADANA

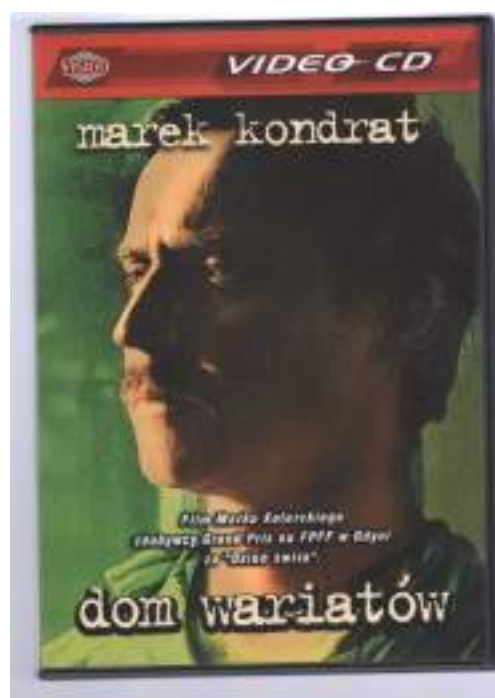
DOM WARIATÓW (1984)

Otwarcie części

Film ten znany jest nielicznym. Bez niego seria traci sens, jak budynek stojący na powietrzu. Koterski w wieku osiemnastu lat zna przeszłość Adasia dokładnie. Pierwsze ślady pojawiają się dawno przed wydarzeniami z *Dnia świra*.

Widoczne są od początku: sposób bycia, rysy twarzy, ton głosu. Losy postaci zapadają jeszcze przed pierwszym uderzeniem kamery. Nie ma tu miejsca na niespodzianki tylko konieczność. Cała opowieść idzie śladem tego, co już się stało.

Jest to pierwszy raz, kiedy widzimy, jak powstaje rana. To nie przypadek, że pokazano to bezpośrednio. Żadnych wspomnień nakładających się na obraz. Ani opowieści z perspektywy lat. Tylko sytuacja, która właśnie zachodzi. Bez pośrednictwa. Jakby czas stanął. Widoczne od początku do końca, jakby stanął czas.



Kulisy i obsada

Warto zatrzymać się przy jednym fakcie zanim w ogóle wejdziemy w analizę. Gdy Koterski szukał aktorki do roli matki Adasia, zgłosił się najpierw do Aleksandry Ślaskiej jednej z największych aktorek polskiego teatru. Ślaska przez kilka tygodni brała udział w próbach, a trzy dni przed zdjęciami porzuciła rolę.

Koterski zgłosił się do Haliny Mikołajskiej. Mikołajska odmówiła, nie zrozumiała scenariusza. Ostatecznie rolę zagrała Bohdana Majda.

Dwie wielkie aktorki polskiego teatru nie rozumiały tego scenariusza i się w nim nie odnajdywały. I to nie jest anegdota, to jest pierwsza informacja o tym filmie. On jest poza konwencją aż na tyle, że intuicja artystyczna traci grunt pod nogami. Nie ma tu postaci w tradycyjnym sensie. Są mechanizmy.

W roli głównej Marek Kondrat jako Adaś Miauczyński, chociaż nazwisko to w tym filmie nigdy nie pada i zostaje wymyślone dopiero na potrzeby kolejnego filmu. Tadeusz Łomnicki jako oj-

cięc. Bohdana Majda jako matka. Leszek Teleszyński jako Gigi, brat Adasia. Anna Nehrebecka jako Wanda, żona Gigiego. Dorota Radziwińska jako Aśka, córka Gigiego. Cezary Morawski jako ojciec w młodości w retrospekcjach. Rafał Zwierny jako mały Adam.

Marek Koterski pokazuje się osobiście choć w napisach figuruje jedynie jako „ktoś”. W jego własnym filmie nie ma nazwiska, roli ani komentarza. Można pomyśleć, że chce być Zauważony, lecz nie otwarcie, nie przez wspomnienia, a raczej jak ślad. Jak postać przemilczana, która jednak stała za kulisami tego wydarzenia.

Mimo że filmografia Koterskiego opowiada w gruncie rzeczy historię jednej i tej samej postaci, reżyser nigdy nie planował cyklu filmów o Miauczyńskim.

Każdy film, mimo powracających motywów, scen i linii dialogowych, jest osobną i samowystarczającą całością. Samo nazwisko Miauczyński w *Domu wariatów* nigdy nie padło. Adaś nie miał nazwiska w pierwszym filmie. Nie miał numeru. Był tylko człowiekiem, który wrócił do domu. I to wystarczyło.

Adaś w tym filmie ma 33 lata. Tyle ile Chrystus w chwili ukrzyżowania. Koterski wymyślił ten szczegół 18 lat przed *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* i nigdy o tym głośno nie mówił. Początek rozumienia całej serii to jedna uwaga Koterskiego:

„Bohaterowi moich filmów jest smutno, a widzowi wesoło.” To jest najkrótsze możliwe opisanie mechanizmu katharsis u Koterskiego i warto je powiedzieć przy pierwszym filmie, bo obowiązuje przez wszystkie cztery.

Warstwa filmowa

Film powstał z jednoaktowej sztuki teatralnej którą Koterski napisał jednej nocy podczas tak zwanego „królowania w kuchni” gdy rodzina spała. Mówi, że tekst został mu podyktowany. I to wiadać i to jest zaleta, nie wada. Akcja rozgrywa się niemal wyłącznie w jednym mieszkaniu, w kilku pokojach. Minimalna liczba lokacji, maksymalne zagęszczenie emocji rosnące bez przerwy. 93 minuty w czterech ścianach.

Sceny są celowo wydłużane ponad punkt komfortu widza. Zbliżenia na twarze trwają za długo. Twarz w zbliżeniu nie znika w porę - Koterski zostawia ujęcie na obliczu Kondrata nawet po końcu repliki, a tamta jednostka czasu drży od czegoś bez słów. Cisza między kwestiami nie jest spokojem, lecz jest napięciem. Koterski uczy widza fizycznego dyskomfortu zanim ten jeszcze zdąży zrozumieć, dlaczego jest mu niewygodnie. Ruch postaci przypomina chodzenie po deskach teatralnych. Nie operator podąża za ludźmi, lecz oni sami wprowadzają się w obiektyw. Zero ruchomych przejść, cień perspektywy dopiero połączeniu ujęć. Aparat stoi, ponieważ nie istnieje miejsce, gdzie mógłby znaleźć schronienie.

Odbiorca pozostaje osaczony razem z domownikami, jeśli bohaterowie nie potrafią opuścić tego świata, patrząc równie dobrze nie może oderwać oczu.

Dialogi brzmią wyuczone, rytmiczne, niemal jak litania. To nie jest realizm psychologiczny i to jest coś między groteską a koszmarnym snem. Postacie nie reagują na siebie nawzajem, wygłaszają swoje kwestie obok siebie. I ta forma jest paradoksalnie prawdziwsza niż realizm, *ponieważ dokładnie tak* funkcjonuje rodzinny chaos. Każdy zajmuje się własnym teatrem. Nikt nie słucha.

Śmiech pojawia się, lecz po chwili staje się niekomfortowy. To nie ta swoboda co w *Dniu Świra*. Czuć, że coś z tym śmiechem nie gra. Absurd nie bawi, groteska jest tu bardziej kafkowska niż kabaretowa. Mechanizmy rodzinne które obserwujemy są absurdalne, ale absurd ten ma żelazną własną logikę. Logikę kompulsji, rytuału, powtórzenia, choć nikt nie wie po co.

Bohater z czasem zaczyna brzydzić się tą rodzinną obojętnością. Próbuje się jej przeciwstawić. Nagle wybucha. Żali się na wszystko co go spotkało. I nie uzyskuje żadnej odpowiedzi. Nie doczekuje się żadnej reakcji. Nie ma kłótni, nie ma dramatu tylko cisza. I właśnie ta cisza, ta pustka zamiast odpowiedzi, jest tym co niszczy bardziej niż jakakolwiek agresja. Można próbować walczyć z wrogiem, lecz w obliczu pustki walka traci sens.

Koterski celowo buduje w widzu poczucie niepokoju przez wydłużone zbliżenia i sztuczność dialogów. Bohaterowie niczym automaty wypływają z siebie kwestie pozbawione sensu. Film jest pełen słów, ale nie ma w nim żadnej rozmowy.

Warstwa psychologiczna

Dom wariatów jest jedynym filmem cyklu, gdzie Adaś jest dzieckiem w rodzinie a nie dorosłym który ją wspomina. Widzimy mechanizm w działaniu akcji, nie jego skutki. I to jest fundamentalna różnica wobec wszystkich kolejnych filmów.

Rodzice nie są dorośli w rozumieniu moralnym. Ojciec zachowuje się dziecinnie i robi wszystko na przekór żonie, opowiada pozbawione sensu historyjki, które mają mądrze brzmieć, żadnej jednak nie potrafi doprowadzić do końca albo przekręca fakty. Jest infantylny nie dlatego że jest głupi, ale dlatego że dziecinnymi sposobami ucieka od rzeczywistości i odpowiedzialności. Jeśli nie jesteś dorosły nie musisz odpowiadać za konsekwencje.

W pokoju najgłośniejszym brzmi cisza, gdy matka udaje spokój. Jej gesty są dokładnie wyważone, by nikogo nie poruszyć a jednak wszystko nią drży. Ona mówi za troje, decyduje za dwoje, trzyma rękę na pulsie jakby życie było szpitalem. Każdy szczegół musi leżeć na swoim miejscu, każdy szept mieć dopuszczoną wysokość. Kiedy mąż przekracza granicę, ona poprawia ton jego głosu jak się reguluje grzejnik. Formy mają znaczenie, bo bez nich mogłaby

pęknąć fasada. To, co wygląda jak porządek, rodzi się z panicznego unikania chaosu. Różnica między nią a mężem? Raczej kwestia metody niż istoty. Obaj budują świat, który nie chce stać. Oto sytuacja, gdzie dwie osoby przebywają razem, lecz każda z nich wycofuje się uczuciowo. Tak wygląda poraniona więź bliskość ciała nie oznacza bliskości serca. Oboje są nieobecni emocjonalnie mimo fizycznej obecności. To jest definicja traumy przywiązania, rodzice są, ale nie ma do nich wewnętrznego dostępu.

I oboje mają swoje natręctwa. Liczenie biletów zajmuje całą uwagę ojca - nie tylko autobusowych, ale też tramwajowych i innych. Buty czyszczone są według ściśle ustalonego rytuału. Skarpetki trafiają prosto do drzwiczek pieca, gdzie zostają delikatnie otrzepane. Z kolei matka przedstawia czajnik: naprzód, w tył, znów naprzód. Te drobne mechanizmy są wykonywane z chirurgiczną powtarzalnością, bez świadomości, bez celu.

To jest odpowiedź na pytanie, skąd Adaś ma swoje rytuały z *Dnia świra*. Nie wymyślił ich. Odziedziczył je dosłownie, każdy rytuał dorosłego Adasia ma swój prototyp w zachowaniu jednego z rodziców. Ojciec liczy bilety, Adaś liczy do siedmiu. To jest to samo działanie w dwóch pokoleniach. Transmisja odbywa się bez słów, bez świadomości, bez złej woli.

W tym domu nikt nie dostrzega cierpienia innego człowieka. Matka nie widzi ojca, ojciec nie widzi matki, żadne z nich nie widzi dziecka. Ból, który nie jest widziany nie istnieje społecznie. To jest jeden z najcięższych mechanizmów traumy: nie to, że coś złego się dzieje, ale że nikt tego nie uznaje. Dziecko, które woła i nie dostaje odpowiedzi uczy się jednej rzeczy: wołanie nie działa. I przestaje wołać. I staje się Adasiem z *Dnia świra* człowiekiem, który mówi o wszystkim, poza tym co

naprawdę go boli.

Adaś nie uczy się w tym domu jak być dorosłym. Uczy się jak być tym konkretnym dorosłym którego tylko widział tym który liczy bilety, otrząsa skarpety, mówi długie monologi, których nikt nie słucha. Brakuje mu innego wzorca do naśladowania. Ma wyłącznie to, co codziennie obserwuje.

I zostaje mu jeszcze jedna rzecz ten cholernie głęboko zakorzeniony wstyd. Dziecko w dysfunkcyjnej rodzinie nie myśli „moja rodzina jest chora”. Myśli „coś jest ze mną nie tak”. Bo skoro rodzice są normalni, a oni zawsze są normalni w oczach dziecka, które nie ma punktu odniesienia, to problem musi być w nim. Ten wstyd, który zobaczymy we wszystkich kolejnych filmach, który filtruje każdą emocję Adasia, który zamienia smutek w agresję i strach w pseudo kontrolę, tu zostaje wszczepiony. W tym domu. Przy tym stole. Przy tych bilecikach i tym czajniczku.

Warstwa językowa

Postacie mówią dużo jednocześnie nie mówią nic. Kwestie są powtarzalne, rytmiczne, nikt nie odpowiada na to co zostało powiedziane, każdy odpowiada na to co chciał usłyszeć. Nie chodzi tu o brak porozumienia, ale o jego pozorowanie za pomocą gestu. Wypowiedzi wyglądają jak rozmowy, a są tylko samotnymi głosami w pustej sali. Każda wypowiedź jest monologiem udającym dialog.

Pewne frazy wracają bez zmiany kontekstu. Ojciec opowiada tę samą historię o konwojach atlantyckich z drugiej wojny i nie kończy jej, bo nigdy nie chodziło o historię. Chodziło o mówienie. O bycie w przestrzeni dźwięku, żeby nie być w ciszy. Powtarzanie jako sposób na nieuczestniczenie w rzeczywistości, jeśli mówię to samo co zawsze, nie muszę reagować na to co się teraz dzieje.

Mowa staje się barierą - delikatną, ale trwałą. Coś w tym ciągłości blokuje dostęp do tego, co dzieje się właśnie teraz.

Inwektywy, zdrobnienia użyte złośliwie, ton, który zaprzecza treści matka mówi do syna pieszczotliwie, lecz ta jej intonacja robi lód tam, gdzie powinien być ciepły dźwięk. Słowa, które brzmią normalnie a niszczą. Koterski pokazuje, że przemoc domowa nie musi być fizyczna, żeby była totalna. Można kogoś zniszczyć samym tonem głosu, samą nieobecnością reakcji, samym brakiem pytania.

W całym filmie nie ma ani jednej sceny, gdzie ktoś pyta dziecko jak się czuje. Bez słów - emocje giną bez śladu. Właśnie tutaj, na tej ciszy, rodzi się początek dla siedmiu wrażeń, siedmiu uczuć, tu widzimy skąd bierze się niemożność nazwania którą Koterski będzie badał przez kolejne trzydzieści cztery lata swojej kariery.

Warstwa społeczna

Powstaje film w 1984 roku - dokładnie rok po oficjalnym ogłoszeniu stanu wojennego. W Polsce trwa rzeczywistość, gdzie od dawna codzienność to ciągłe spiętrzenie emocji, brak możliwości swobodnego powiedzenia tego, co się myśli, naprawdę jest normą. Koterski nie komentuje otwarcie tej sytuacji. Ale *Dom wariatów* jest mikrokosmosem PRL-u: zamknięta przestrzeń, z której nie można wyjść, reguły, których nikt nie kwestionuje, wymiana słów, która służy raczej maskowaniu niż porozumieniu. To, co system polityczny robi ze społeczeństwem, to samo rodzina robi z dzieckiem. Mechanizm jest identyczny.

W latach osiemdziesiątych polska scena filmowa należała do twórców moralnego niepokoju Kieślowskiego, Zanussiego, Wajdy. Ich filmy koncentrowały się na układzie władzy, dylematach etycznych, przeszłości. Inaczej postąpił Koterski: umieścił aparat w jednym lokalu i skupił się na relacjach domowych. Rewolucja tkwi nie w temacie politycznym, ale leży w odmowie poruszania go, by zajrzeć głębiej, tam, gdzie dotykać nie powinno się bez wahania. Dom jako zakazany teren. Choć kultura traktuje rodzinę jak sanktuarium, gwarancję stabilności, najwyższą wartość, on ujawnia ją jako korzeń cierpienia. Nie to sobie przewyższa całą dawną odwagę kina moralnego niepokoju. Wcześniej obwiniano władzę. Teraz winę ponosi wnętrze.

Rodzina Miauczyńskich to inteligencja. Inteligencja w PRL miała szczególny rodzaj schizofrenii: prywatne przekonania, publiczne zachowanie i rodzinna przestrzeń, która była polem bitwy między tymi dwoma światami. Koterski pokazuje, że ta schizofrenia wchodzi do sypialni i kuchni. W domu Miauczyńskich umysłowość staje się widoczna. W czasach PRL-u taka świadomość niosła ze sobą dziwną rozdwojenie: własne myśli żyły osobno od tego, co mówiło się na zewnątrz. Przestrzeń rodzinnego mieszkania zamienia się w arenę, gdzie kolizje między wewnętrznym, a zewnętrznym trwają bez przerwy. U Koterskiego widać, jak ten podział dociera do najosobniejszych pomieszczeń tam, gdzie człowiek powinien być najbardziej szczery. Język, którym intelektualista porozumiewa się z władzą, pojawia się również przy obiedzie. Nawet rozmowa z własnym dzieckiem nabiera cech tej dwoistości.

W latach osiemdziesiątych brakuje możliwości skorzystania z terapii dla całej rodziny. Wówczas język psychologii niemal nie przenika do życia codziennego. Trudno sobie wyobrazić, że problem może leżeć w strukturze domu, a nie w jednym członku. Rodzina po prostu istnieje bez etykiet, bez analiz. Nie ma przestrzeni na pytanie, czy funkcjonuje dobrze. Każdy pozostaje tam, gdzie się znalazł i żyje dalej.

Warstwa filozoficzna i egzystencjalna

Sartre napisał, że piekło to inni. *Dom wariatów* jest filmem, który bierze tę tezę i robi z nią coś okrutniejszego: piekło to inni, których kochasz. Zamknięta przestrzeń, niemożność wyjścia, obecność drugiego człowieka jako źródło cierpienia to wszystko jest u Sartre'a. Ale u Sartre'a można przynajmniej nienawidzić. Tu nie można, bo to jest rodzina. Ci, od których zależy twoje przetrwanie. I tej nienawiści nie wolno poczuć bez poczucia winy, które jest gorsze niż sama nienawiść.

Nie każdy widzi, że film działa jak dzieło Gombrowiczowe. Adaś, będąc dorosłym, daje się zamknąć w formie małego chłopca znoszącego awantury rodziców. Jest tą formą osaczony do tego stopnia, że próbuje od niej uciec aż do szpitala psychiatrycznego. U Gombrowicza forma narzucona przez innych kształtuje nasz obraz, zanim sami mamy szansę się wyrazić. W *Domu wariatów* widać dokładnie, jak ta forma powstaje tu i teraz. Adaś wraca do domu rodziców i automatycznie cofa się do formy dziecka. Nie dlatego że chce. Dlatego że forma jest silniejsza niż świadomość.

Jest jedna scena, która pokazuje, że wyjście poza formę jest możliwe, ale tylko dla Gigiego. Gigi je ryby palcami zamiast proponowanymi przez matkę widelczykiem i łyżeczką. To jest pozornie drobny gest. W kontekście tego filmu jest aktem rewolucyjnym. Naruszenie formy narzuconej przez matkę jako dowód, że można poza nią wyjść. Adaś nie wychodzi. Adaś używa widelczyka. I będzie go używał przez następne trzydzieści lat.

Zdarzenia w filmie nie mają przyczynowo skutkowej logiki w konwencjonalnym sensie, ale mają

swoją własną żelazną logikę. Logikę obsesji, rytuału, powtórzenia. Absurd jak u Camusa, świat milczy przed pytaniem o cel, człowiek zaś nie umie przestać go zadawać. Adaś pyta, przez całe 93 minuty pyta, wybucha, żali się, cierpi, próbuje przebić przez mur i nie dostaje odpowiedzi. Nie dlatego że odpowiedzi nie ma. Dlatego że nikt w tym domu nie jest zdolny jej z siebie wydobyć.

Nikt w tym filmie nie chce się zmienić. Nie dlatego że są źli. Dlatego że nie wiedzą, że można inaczej. To jest egzystencjalny horror innego rodzaju niż zło moralne: nie tragedia złego wyboru, ale tragedia braku świadomości, że wybór w ogóle istnieje. Ojciec liczy bilety, bo zawsze liczył bilety. Matka przesuwają czajniczek, bo zawsze przesuwają czajniczek. Adaś używa widelczyka, bo tak mu pokazano. I nikt z nich nie stoi przed żadnym wyborem, bo żaden z nich nie wie, że stoi przed wyborem.

Pod koniec filmu Koterski nieco odchodzi od zastosowanej wcześniej formy. Przyspiesza tempo, zostawiając za sobą mozolną obserwację życia rodzinnego. Adaś zaczyna działać, następuje kilka zwrotów akcji i całość Koterski wzbogaca chrześcijańską symboliką. To nie jest przypadek. Adaś ma 33 lata. Tyle ile Chrystus. I jego cierpienie w tym domu, niewinne, niezawinione, bez odkupienia, jest pierwszym zarysem tematu, który Koterski rozwinie w pełni dopiero w 2006 roku. *Wszyscy jesteście Chrystusami* zaczyna się tu, w tym mieszkaniu, przy tym stole.

Warstwa indywidualno-emocjonalna

Jest w grze Marka Kondrata coś niesamowitego, coś hipnotyzującego. Nawet zamierzona sztuczność zdaje się być w jego wykonaniu naturalna. Jego cierpienie widoczne jest jak na dłoni nawet wtedy, gdy jego twarz nie wyraża absolutnie nic. Kondrat razem z Łomnickim i Majdą dają tu wyjątkowy popis aktorstwa tworząc postacie, które potrafią rozdrażnić i wzbudzić niechęć, ale nie pozwalają patrzeć na siebie z obojętnością.

Tu po raz pierwszy widzimy tę twarz kontroli, która się kruszy. Kondrat nie gra dziecięcości jako niewinności. Gra dziecięcość jako czujność. Adaś w tym domu cały czas obserwuje, oblicza, przewiduje — bo musi. Bo środowisko, w którym żyje jest nieprzewidywalne i jedyną strategią przetrwania jest stałe monitorowanie. Ta czujność jest mechanizmem, który zobaczymy u dorosłego Adasia w *Dniu świra* jako obsesję kontroli tu ma swoje źródło. Nie w charakterze. W konieczności.

Adaś jest otoczony rodziną i jest absolutnie sam. To jest najważniejszy emocjonalny rdzeń całego cyklu.

Dziecko w tym filmie się boi, ale nie wiadomo czego konkretnie. Bo to nie jest strach przed jednym zdarzeniem. To jest strach, który jest powietrzem w tym domu. Lęk egzystencjalny zanim bohater ma umie go nazwać. Zanim w ogóle wie, że to co czuje to jest lęk.



Laura Ziemlewska i Maria Gawęda

Zło – rozmowa o ludzkich wyborach

Często myślimy o złu w kategoriach filmowych złoczyńców, ale prawda jest taka, że ma ono wiele twarzy – od obojętności wobec czyjejś krzywdy po drobne, codzienne złośliwości. Razem z Marią postanowiliśmy przyrzeć się temu pojęciu bliżej. Nie szukamy definicji z podręcznika, lecz próbujemy zrozumieć, dlaczego ludzie wybierają krzywdę zamiast pomocy i czy we współczesnym świecie jest jeszcze miejsce na radykalne dobro.

Maria Gawęda Lauro, czy Twoim zdaniem człowiek rodzi się zdolny do zła, czy uczy się go od świata?

Laura Ziemlewska: Myślę, że rodzimy się z pewnym potencjałem zarówno do dobra, jak i do zła. Mamy w sobie instynkty, takie jak agresja czy chęć dominacji, które kiedyś były potrzebne do przetrwania, a dziś mogą stać się źródłem zła. Jednak to świat i nasze otoczenie decydują, czy te instynkty zostaną stłumione przez empatię i wychowanie, czy pozwolimy im przejąć kontrolę nad naszym życiem. Nie rodzimy się źli – rodzimy się jako czyste karty, na których życie zapisuje różne historie.

Maria Czy można usprawiedliwić zło, jeśli prowadzi do większego dobra?

Laura To klasyczny problem, ponieważ często próbujemy usprawiedliwiać własne działania przekonaniem, że cel uświęca środki. Jeśli pozwolimy sobie na „odrobinę zła” w imię wyższego dobra, bardzo łatwo przekroczyć granicę, zza której trudno już wrócić. Poza tym kto ma prawo oceniać, czym jest owo „większe dobro”? Zło zawsze pozostawia po sobie ślady – zarówno w innych ludziach, jak i w nas samych.

Maria Czy milczenie wobec krzywdy jest równie złe jak sama krzywda?

Laura To trudne pytanie. Intuicyjnie czujemy, że sprawca jest bardziej winny niż świadek. Z drugiej strony milczenie często oznacza przyzwolenie. Jeśli widzimy, że dzieje się coś złego, a nie reagujemy, stajemy się częścią tego mechanizmu. Być może nie jesteśmy równie winni pod względem intencji, ale skutki pozostają podobne – zło rozprzestrzenia się dalej, ponieważ nikt go nie zatrzymał.

Maria Czy można całkowicie wyeliminować zło ze świata, czy jest ono nieodłączną częścią rzeczywistości?

Laura Gdybyśmy mogli całkowicie wyeliminować zło, musielibyśmy prawdopodobnie zrezygnować również z wolnej woli. Skoro człowiek ma prawo wyboru, zawsze istnieje ryzyko, że

wyberze źle. Zło jest więc ceną naszej wolności. Nie sądzę, by możliwe było stworzenie świata idealnego, ale wierzę, że naszym zadaniem jest ograniczanie skali zła i wzmacnianie dobra.

Maria Zło najczęściej omawiamy w kontekście wielkich tragedii, takich jak wojny czy zbrodnie. Co sądzisz o złu, które wkrada się do naszego życia na co dzień i powoduje ogólną znieczulicę?

Laura Moim zdaniem właśnie takie codzienne, drobne przejawy zła są szczególnie niebezpieczne. Obojętność wobec krzywdy, brak szacunku czy lekceważenie drugiego człowieka wydają się niegroźne, ale z czasem mogą stać się normą. Kiedy nieustannie spotykamy się z podobnymi zachowaniami, zaczynamy je akceptować i przestajemy na nie reagować.

Maria Czy ludzie coraz częściej przestają reagować na zło i uznają je za część życia?

Laura W pewnym stopniu tak. Jesteśmy codziennie bombardowani informacjami o przemocy, tragediach i konfliktach, przez co stopniowo się do nich przyzwyczajamy. Nie oznacza to jednak, że całkowicie utraciliśmy wrażliwość. Wciąż wiele osób angażuje się w pomoc potrzebującym i sprzeciwia się niesprawiedliwości. Problem polega raczej na tym, że nadmiar negatywnych bodźców może osłabiać naszą empatię.

Maria Czy istnieje granica, po przekroczeniu której przestajemy być dobrzy, a stajemy się źli?

Laura Nie wydaje mi się, aby istniała jedna wyraźna granica oddzielająca dobro od zła. Człowiek nie staje się zły przez pojedynczy błąd, lecz przez świadome i powtarzające się wybory krzywdzące innych. Taka granica znajduje się przede wszystkim w naszym sumieniu – w chwili, gdy przestajemy dostrzegać cierpienie drugiego człowieka lub uznajemy je za nieważne.

Maria Czy bycie dobrym człowiekiem polega wyłącznie na niewyrządzaniu krzywdy innym, czy również na aktywnym przeciwstawianiu się złu?

Laura Bycie dobrym człowiekiem zaczyna się od niewyrządzania krzywdy innym, ale często to nie wystarcza. Prawdziwa dobroć wymaga także reagowania wtedy, gdy widzimy cierpienie. Oczywiście nie każdy ma obowiązek narażać własne życie, jednak nawet drobny gest, wsparcie czy słowo otuchy mogą mieć ogromne znaczenie. Dobro to nie tylko unikanie zła, ale również aktywne działanie na rzecz innych.

Maria Bardzo dziękuję Ci za rozmowę.

Laura I ja dziękuję. Następnym razem to ja będę zadawała pytania, a ty będziesz musiała poszukać odpowiedzi.

JADWIGA PAPIEROWSKA

Motyw zniewolenia człowieka w literaturze

WSTĘP

Wolność jest jedną z najważniejszych wartości w życiu człowieka. Pozwala podejmować samodzielne decyzje oraz daje poczucie komfortu i bezpieczeństwa. W historii ludzkości wielokrotnie dochodziło jednak do sytuacji, w których człowiek był pozbawiony swobody działania przez rząd, instytucje społeczne lub innych ludzi. Taki stan określa się mianem zniewolenia. Motyw ten od wieków pojawia się w literaturze, ponieważ pozwala autorom ukazać, jak okrutnym czynem jest odebranie człowiekowi wolności oraz jakie konsekwencje ponosi osoba żyjąca pod presją władzy lub społeczeństwa.

Celem tej pracy jest przedstawienie motywu zniewolenia człowieka w literaturze polskiej i światowej. Analizie zostaną poddane utwory: „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Rok 1984* George’a Orwella, *Dziady cz. III* Adama Mickiewicza oraz *Lot nad kukłczym gniazdem* Kena Keseya. Książki te ukazują różne oblicza zniewolenia – fizycznego, psychicznego, politycznego i społecznego.

ROZDZIAŁ I

MOTYW ZNIEWOLENIA – ISTOTA I ZNACZENIE W LITERATURZE

Motyw zniewolenia należy do najczęściej podejmowanych tematów literackich. Oznacza sytuację, w której człowiek zostaje pozbawiony możliwości samodzielnego decydowania o swoim życiu. Zniewolenie może przyjmować różne formy. Najbardziej oczywistą jest niewola fizyczna, związana z uwięzieniem, przemocą lub ograniczeniem swobody poruszania się. Równie istotne jest jednak zniewolenie psychiczne, polegające na manipulacji lub narzucaniu określonych poglądów.

Literatura często ukazuje konflikt między wolnością jednostki a siłami dążącymi do jej podporządkowania. Autorzy przedstawiają bohaterów walczących o swoją wolną wolę i próbujących odzyskać szansę na lepszą przyszłość. Dzięki temu odbiorca może lepiej zrozumieć wartość wolności oraz zagrożenia wynikające z nadużywania władzy.

Przykładem utworu poruszającego problem zniewolenia jest „Proces” Franza Kafki. Główny bohater, Józef K., zostaje oskarżony przez tajemniczy system sądowy, którego zasad nie rozumie. Nie zna przyczyn oskarżenia ani sposobu obrony. Kafka pokazuje człowieka całkowicie bezradnego wobec niesprawiedliwego systemu. Powieść ta ukazuje, że zniewolenie może mieć charakter nie tylko fizyczny, ale również psychologiczny i społeczny.

Motyw zniewolenia pełni w literaturze ważną funkcję ostrzegawczą. Autorzy zwracają uwagę na niebezpieczeństwa związane z totalitaryzmem czy bezrefleksyjnym podporządkowaniem się władzy. Jednocześnie podkreślają znaczenie indywidualności oraz prawa człowieka do wolności.

ROZDZIAŁ II

MOTYW ZNIEWOLENIA W LITERATURZE POLSKIEJ

Jednym z najważniejszych polskich utworów podejmujących temat zniewolenia jest „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Książka ma charakter autobiograficzny i opisuje doświadczenia autora z pobytu w radzieckim obozie pracy. Obóz został przedstawiony jako miejsce całkowitego odebrania człowiekowi wolności i godności. Więźniowie są zmuszani do ciężkiej pracy, głodzeni oraz nieustannie żyją w strachu.

Najbardziej przerażające jest jednak stopniowe niszczenie psychiki więźniów. W skrajnych warunkach ludzie często tracą moralne zasady i skupiają się wyłącznie na przetrwaniu. Herling-Grudziński pokazuje, że system totalitarny dąży do całkowitego podporządkowania jednostki. Mimo to niektórzy bohaterowie zachowują człowieczeństwo i godność, co świadczy o sile ludzkiego ducha.

Drugim utworem, który można odczytywać w kontekście zniewolenia człowieka, są „Dziady cz. III” Adama Mickiewicza. Dramat przedstawia sytuację Polaków żyjących pod zaborem rosyjskim, prześladowanych i więzionych za działalność patriotyczną. W scenach więziennych ukazani są młodzi ludzie pozbawieni wolności, traktowani brutalnie i niesprawiedliwie przez władze carskie.

Mimo cierpienia bohaterowie nie tracą jednak poczucia godności ani wiary w wolną Polskę. Szczególnie widoczne jest to w postawie Konrada, który buntuje się przeciwko Bogu i próbuje walczyć o wolność narodu siłą ducha oraz słowa. Jego samotny bunt pokazuje, że zniewolenie może dotyczyć nie tylko ciała, ale również całego narodu i jego tożsamości.

Mickiewicz podkreśla, że nawet w warunkach zniewolenia fizycznego człowiek może zachować wolność wewnętrzną, jeśli nie zgodzi się na utratę swoich wartości. „Dziady cz. III” ukazują więc walkę między opresyjnym systemem a wolą przetrwania i zachowania wolności duchowej.

Analizowane dzieła dowodzą, że polska literatura często podejmuje temat ograniczania wolności w kontekście doświadczeń historycznych i politycznych. Autorzy ukazują dramat ludzi zmuszonych do życia w warunkach przemocy, ale jednocześnie podkreślają znaczenie godności i niezależności duchowej dla człowieka.

ROZDZIAŁ III

MOTYW ZNIEWOLENIA W LITERATURZE ŚWIATOWEJ

Jednym z najbardziej znanych utworów ukazujących problem zniewolenia jest „Rok 1984” George’a Orwella. Autor przedstawia wizję państwa totalitarnego, w którym władza kontroluje wszystkie aspekty życia obywateli. Mieszkańcy są nieustannie obserwowani przez Wielkiego Brata, a propaganda kształtuje ich sposób myślenia. System nie ogranicza się do kontrolowania zachowań ludzi, lecz próbuje wpływać także na ich świadomość.

Główny bohater, Winston Smith, podejmuje próbę buntu przeciwko władzy. Chce zachować własne poglądy i prawo do samodzielnego myślenia. Ostatecznie jednak zostaje złamany przez aparat państwowy. Orwell pokazuje, że najbardziej niebezpieczną formą zniewolenia jest ta, która prowadzi do utraty własnej tożsamości.

Kolejnym dziełem jest „Lot nad kukułczym gniazdem” Kena Keseya. Akcja rozgrywa się w szpitalu psychiatrycznym, który staje się symbolem opresyjnego systemu społecznego. Pacjenci poddawani są surowym regułom narzuconym przez pielęgniarkę Ratched. Kobieta wykorzystuje swoją pozycję do kontrolowania i zastraszania podopiecznych.

Przeciwko temu systemowi buntuje się Randle McMurphy. Jego zachowanie symbolizuje walkę o wolność, godność i indywidualność człowieka. Bohater zachęca innych pacjentów do sprzeciwu wobec niesprawiedliwych ograniczeń. Choć jego los kończy się tragicznie, pozostawia po sobie przykład odwagi i niezależności. Powieść pokazuje, że zniewolenie może być obecne nawet w instytucjach, które teoretycznie mają służyć człowiekowi.

Przykłady z literatury światowej ukazują różnorodne formy zniewolenia. Autorzy ostrzegają przed systemami politycznymi, instytucjami społecznymi oraz mechanizmami manipulacji, które mogą prowadzić do utraty wolności.

ZAKOŃCZENIE

Motyw zniewolenia człowieka zajmuje ważne miejsce zarówno w literaturze polskiej, jak i światowej. Analizowane utwory ukazują różne formy ograniczania wolności – od fizycznego uwięzienia, przez terror polityczny, aż po manipulację psychiczną. W „Innym świecie” przedstawione zostało zniewolenie w obozie sowieckim. Z kolei „Rok 1984” i „Lot nad kukułczym gniazdem” pokazują mechanizmy podporządkowywania człowieka przez system oraz walkę o zachowanie własnej tożsamości. Natomiast „Dziady cz. III” przedstawiają zniewolenie młodych patriotów walczących przeciwko zaborom rosyjskim.

Wszystkie omawiane dzieła prowadzą do wspólnego wniosku: wolność jest jedną z najcenniejszych wartości człowieka, a jej utrata prowadzi do cierpienia i załamania jednostki. Literatura, ukazując różne oblicza zniewolenia, przypomina o konieczności obrony prawa do niezależności, godności i samodzielnego myślenia.

ZBIGNIEW HERBERT

LASCAUX

*Altamira est la capitale de l'art
parietal Lascaux en est Versailles.
Henri Breuil*

Lascaux nie widnieje na żadnej oficjalnej mapie. Można powiedzieć, że nie istnieje, w każdym razie w tym sensie, w jakim istnieje Londyn czy Radom. Trzeba było zasięgnąć języka w paryskim Muzeum Człowieka, aby dowiedzieć się, gdzie to właściwie jest.

Pojechałem tam wczesną wiosną. Dolina Wezery wstawała właśnie w swojej świeżej, niedokończonej zieleni. Fragmenty pejzażu widziane z okna autobusu przypominały płótna Bissière'a. Siatka czułej zieleni.

Montignac. Miasteczko, w którym nie ma nic do obejrzenia poza tablicą pamiątkową ku czci zasłużonej akuszerki:

Ici vécut Madame Marie Martel — sage-femme — officier d'Académie. Sa vie... c'était faire du bien. Sa joie... accomplir son devoir. Nie można piękniej.

Śniadanie w małej restauracji, ale co za śniadanie! Omlet z truflami. Trufle należą do historii ludzkich szaleństw, a zatem do historii sztuki. Więc słówko o truflach.

Jest to rodzaj grzyba podziemnego, pasożytniczego na korzeniach innych roślin, z których czerpie soki. Do wykrywania go używa się psów lub prosiaków, odznaczających się, jak wiadomo, doskonałym węchem. Także pewien rodzaj muszek daje sygnały, gdzie znajdują się te gastronomiczne skarby.

Trufle mają na rynku bardzo wysoką cenę, toteż mieszkańcy pobliskich okolic ulegli istnej gorączce poszukiwań. Ryto ziemię, niszczone lasy, które stoją teraz żałośnie suche. Całe połacie ziemi dotknięte zostały klęską nieurodzaju, grzyb bowiem wydziela trującą substancję, uniemożliwiającą wegetację. A przy tym jest bardzo chimeryczny i znacznie trudniejszy do hodowli niż pieczarki. Wszelako omlet z truflami jest znakomity, a ich zapachu, bo smaku właściwie nie mają, nie da się z niczym porównać. Zupełnie jak Tuwimowa rezeda.

Z Montignac idzie się autostradą, która wznosi się, zatacza łuk, zagłębia w las i nagle urywa. Parking.

Budka z coca-colą i kolorowymi widokówkami. Tych, którzy nie chcą kontentować się reprodukcjami, wprowadza się do czegoś w rodzaju zagrody, a potem do obetonowanego podziemia przypominającego bunkier. Zamykają się metalowe, jak w skarbcach, zawory i jakąś chwilę stoi się w mroku, oczekując na wtajemniczenie. Wreszcie drugie drzwi, prowadzące do wnętrza, otwierają się. Jesteśmy w grocie.

Altamira est la capitale de l'art parietal Lascaux en est Versailles — Jeśli Altamira jest stolicą sztuki parietalnej, Lascaux jest jej Wersalem

Ici vécut Madame Marie Martel — sage-femme — officier d'Académie. Sa vie... c'était faire du bien. Sa joie... accomplir son devoir.—Tu mieszkata pani Marie Martel — położna — odznaczona tytułem *Oficera Akademii*. Jej życiem... było czynienie dobra. Jej radością... było spełnianie obowiązku.

Zimne światło elektryczne jest obrzydliwe i można sobie wyobrazić, czym była jaskinia w Lascaux, gdy żywe światło pochodni i kaganków wprawiało w ruch stada byków, bizonów i jeleni malowanych na ścianach i sklepieniu. I do tego głos przewodnika dukającego objaśnienia. Jest to głos sierżanta, który czyta Pismo Święte.

Kolory: czerń, brąz, ochra, czerwień cynobrowa, karmazynowa, malwa i biel wapiennych skał. Są tak żywe i świeże, jak na żadnym z renesansowych fresków. Kolory ziemi, krwi i sadzy.

Wizerunki zwierząt widziane przeważnie z profilu uchwycone są w ruchu i rysowane z ogromnym rozmachem, a jednocześnie z czułością, niczym ciepłe kobiety Modiglianiego. Całość z pozoru bezładna, jakby to wszystko malowane było w pośpiechu przez szalonego geniusza, techniką filmową, pełną zbliżeń i dalekich planów. A przy tym ma zwartą, panoramiczną kompozycję, chociaż wszystko przemawia za tym, że artyści z Lascaux kpili sobie z reguł. Poszczególne wizerunki są różnych wymiarów: od kilkudziesięciu centymetrów do ponad pięciu metrów. Nie brak także palimpsestów, to jest malowideł nałożonych jedno na drugie, słowem klasyczny bałagan, który sprawia jednak wrażenie harmonii.

Pierwsza sala, zwana Salą Byków, ma piękne naturalne sklepienie, jakby z zastygłych chmur. Szeroka na dziesięć metrów, długa na trzydzieści, może pomieścić sto osób. Zwierzyńiec Lascaux otwiera wizerunek dwurożca.

Fantastyczny ten stwór o potężnym ciele, krótkiej szyi, małej, przypominającej nosorożca głowie, z której wyrastają dwa ogromne proste rogi, niepodobny jest do żadnego z żyjących ani kopalnych zwierząt. Jego tajemnicza obecność zaraz na wstępie mówi nam, że nie będziemy oglądali atlasu historii naturalnej, ale jesteśmy w miejscu kultu, zaklęć i magii. Prehistorycy są zgodni co do tego, że grotę w Lascaux nie była jaskinią mieszkalną, ale sanktuarium, podziemną Kaplicą Sykstyńską naszych praojców.

Rzeka Wezera wije się wśród wapiennych wzgórz porośniętych lasem. W jej dolnym biegu, zanim połączy się z rzeką Dordogne, odkryto największą ilość grot zamieszkałych przez człowieka paleolitycznego. Jego szkielet odkryty w Cro-Magnon podobny jest do szkieletu człowieka współczesnego. Cromagnończyk pochodził prawdopodobnie z Azji i po ostatnim zlodowaceniu, czyli około trzydziestu do czterdziestu tysięcy lat przed naszą erą, rozpoczął szturm na Europę. Wytepił bezlitośnie niżej stojącego na drabinie gatunków człowieka neandertalskiego, zajął jego jaskinie i łowiska. Historia ludzkości rozpoczęła się pod gwiazdą Kaina.

Południowa Francja i północna Hiszpania były terenem, na którym nowy zdobywca, Homo sapiens, stworzył cywilizację nazwaną przez prehistoryków frankokantabryjską. Przypada ona na okres młodszej paleolitu, zwanego także epoką reniferów. Okolice Lascaux, i to już od średniego paleolitu, były prawdziwą Ziemią Obiecaną, nie tyle płynącą mlekiem i miodem, ile gorącą krwią zwierząt. Tak jak później miasta powstawały na przecięciu dróg handlowych, w epoce kamiennej osady ludzkie skupiały się na szlakach czworonogów. Co wiosnę stada reniferów, dzikich koni, krów, byków, bizonów i nosorożców szły przez te ziemie ku zielonym pastwiskom Owernii. Tajemnicza regularność i błogosławiony brak pamięci zwierząt, które co roku podążały tą samą drogą ku pewnej masakrze, były dla człowieka paleolitycznego takim samym cudem jak dla starożytnych Egipcjan wylew Nilu. Ze ścian groty Lascaux odczytać można potężną suplikację, aby ten porządek świata trwał wiecznie.

Dlatego zapewne malarze groty są największymi animalistami wszystkich czasów. Dla nich zwierzę nie było, tak jak dla Holendrów, fragmentem łagodnego pejzażu pasterskiej Arkadii, ale widzieli je błyskawicznie, w dramatycznym popłochu, żywe, ale naznaczone już śmiercią. Ich oko nie kontempluje przedmiotu, ale z precyzją mordercy doskonałego pęta go w sidła czarnego konturu.

Pierwsza sala, która była prawdopodobnie miejscem ceremonii magii myśliwskiej (przychodzili tu z kamiennymi lampkami na swoje krzykliwe obrzędy), zawdzięcza swoją nazwę czterem wielkim bykom, z których największy ma pięć i pół metra długości. Te wspaniałe zwierzęta dominują nad stadem sylwetkowo malowanych koni i kruchych jeleni o fantastycznych rogach. Ich potężny galop rozsada podziemia. W rozdętych nozdrzach skroplony chrapliwy oddech.

Sala przechodzi w wąski korytarz bez wyjścia. Panuje tu, jak mówią Francuzi, l'heureux désordre des figures. Czerwone krowy, małe dziecinne koniki, kozły cwałują w różnych kierunkach w nieopisanym zamęciu. Przewrócony na grzbiet koń z kopytami wyciągniętymi w wapienne niebo jest świadectwem myśliwskiego procederu, uprawianego jeszcze obecnie przez prymitywne szczepy myśliwskie: ogniem i krzykiem gnane zwierzęta, w kierunku urwistej skały, spadają, zabijając się.

Jednym z najpiękniejszych portretów zwierzęcych, i to nie tylko sztuki paleolitycznej, ale wszystkich czasów, jest tak zwany koń chiński. Nazwa nie oznacza rasy; wyraża hołd złożony rysunkowej perfekcji mistrza z Lascaux. Czarny, miękki kontur, nasycający się i zanikający, stanowi nie tylko obrys, ale modeluje masę ciała. Krótka jak u koni cyrkowych grzywa, rozpędzone, dudniące kopyta. Ochra nie wypełnia całego ciała, brzuch i nogi są białe.

Zdaję sobie sprawę, że wszelki opis — inwentarz elementów — bezsilny jest wobec tego arcydzieła, które ma tak oślepiającą i oczywistą jedność. Tylko poezja i baśń mają moc błyskawicznego kreowania rzeczy. Więc chciałoby się powiedzieć tyle: „Był sobie raz piękny koń z Lascaux”.

Jak pogodzić tę wyrefinowaną sztukę z brutalną praktyką prehistorycznych myśliwych? Jak zgodzić się ze strzałami przeszywającymi ciało zwierzęcia — imaginacyjnym mordem artysty?

Ludy myśliwskie, żyjące na Syberii przed rewolucją, bytowały w podobnych warunkach jak człowiek z epoki reniferów. Lot-Falck w książce *Les rites de chasse chez les peuples sibériens* pisze: „Myśliwy traktował zwierzę jak istotę co najmniej równą sobie. Widząc, że tak samo jak on poluje, aby się żywić, sądził, że ma także ten sam model społecznej organizacji. Wyższość człowieka manifestuje się jedynie w dziedzinie technicznej, dzięki wprowadzeniu narzędzi; w dziedzinie magicznej człowiek przypisuje zwierzęciu siłę nie mniejszą niż jego własna. Z drugiej strony zwierzę stoi wyżej od człowieka z jednego lub wielu względów: dzięki swojej sile fizycznej, zwinności, doskonałości słuchu i powonienia — a więc wszystkich zalet cenionych przez myśliwych. W dziedzinie duchowej przyznaje mu jeszcze więcej wartości...”

Zwierzę ma bardziej bezpośredni związek z tym, co boskie, jest bliższe siłom przyrody, które się w nie wcielają”.

To jeszcze jest od biedy zrozumiałe dla człowieka współczesnego. Przepaście paleopsychologii zaczynają się tam, gdzie mowa jest o związku mordercy z ofiarą: „Śmierć zwierzęcia zależy przynajmniej częściowo od niego samego: aby mogło zostać zabite, musi wyrazić swoją zgodę, musi wejść w układ ze swoim mordercą. Dlatego myśliwy czuwa nad zwierzęciem i zależy mu bardzo na zadzierzgnięciu z nim jak najlepszych stosunków. Jeśli renifer nie kocha myśliwego, nie da mu się zabić”. Tak więc naszym grzechem pierworodnym i naszą siłą jest hipokryzja. Tylko zachłanna, śmiercionośna miłość potrafi wytłumaczyć czar bestiariusz Lascaux.

Na prawo od wielkiej sali wąski koci korytarz prowadzi do części zwanej nawą i absydą. Na lewej ścianie wielka czarna krowa przyciąga uwagę nie tylko doskonałością rysunku, ale z powodu dwóch tajemniczych i wyraźnie widocznych znaków, jakie znajdują się pod jej kopytami. Nie są to jedyne znaki, przed którymi stajemy bezradni.

Znaczenie strzał przeszywających zwierzęta jest dla nas jasne, gdyż ta praktyka magiczna — zabijanie obrazu — znana była średniowiecznym czarownicom, szeroko praktykowana na renesansowych dworach, a nawet dotrwała do naszych nacjonalistycznych czasów. Ale czymże są owe czworokąty z szachownicą kolorów, które znajdujemy pod kopytami czarnej krowy? L'abbé Breuil, papież prehistoryków, znakomity znawca nie tylko jaskini Lascaux, widzi w nich znaki klanów myśliwskich, dalekie źródła herbów. Wysuwano także hipotezę, że są to modele pułapek na zwierzęta; inni zaś dopatrują się w nich wzorów szafasów. Dla Raymonda Vaufreya są to po prostu malowane okrycia zrobione ze skór, jakie i dziś spotyka się w Rodezji. Każdy z tych domysłów jest prawdopodobny, lecz żaden niepewny. Nie potrafimy także zinterpretować innych prostych znaków: kropek, kresek, kwadratów i kół, zarysów figur geometrycznych, jakie znajdują się w innych jaskiniach, jak na przykład Castillo w Hiszpanii. Niektórzy uczeni wysuwają nieśmiało przypuszczenia, że są to pierwsze próby pisma. Tak więc tylko konkretne obrazy mó-

wią do nas. Wśród chrapliwych oddechów galopujących zwierząt z Lascaux geometryczne znaki milczą i będą milczały może już zawsze. Naszą wiedzę o praszczurze modeluje gwałtowny krzyk i grobowa cisza.

Po lewej stronie nawy piękny fryz jeleni. Artysta przedstawił tylko szyje, głowy i rogi, tak że zdają się płynąć rzeką ku ukrytym w zaroślach myśliwym.

Kompozycją o nieporównanej ekspresji, wobec której wszystkie gwałtowności współczesnych mistrzów wydają się dziecinne, są dwa smoliste bizona, zwrócone do siebie zadami. Lewy ma jakby zdartą na grzbiecie skórę odsłaniającą mięso. Głowy podniesione, sierść zjeżona, przednie kopyta podskakujące w pędzie. Jest to malowidło eksplodujące ciemną i ślepą potęgą. Nawet tauromachie Goyi są zaledwie słabym echem tej pasji.

Absyda prowadzi do zagłębiającej się czeluści, zwanej szybem, na spotkanie tajemnicy tajemnic.

Jest to scena, a raczej dramat i, jak przystało na dramat antyczny, rozgrywa się między skąpą liczbą bohaterów: bizonem przekłutym oszczepem, leżącym człowiekiem, ptakiem i niewyraźnym w zarysie odchodzącym nosorożcem. Bizon stoi profilem, ale ma odwróconą ku widzowi głowę. Z brzucha wypływa ją wnętrzności. Człowiek, potraktowany schematycznie jak na rysunkach dzieci, ma ptasią głowę zakończoną prostym dziobem, rozrzucone czteropalczaste ręce i sztywno wyciągnięte nogi. Ptak jakby wycięty z kartonu i umieszczony na patyku prostej linii. Całość rysowana grubą, czarną kreską, niewypełniona kolorem, tylko złotą ochrą tła, odbiega swoją surową, jakby niezdarną fakturą od malowideł wielkiej sali czy absydy. A mimo to przyciąga uwagę prehistoryków, nie tyle ze względów artystycznych, ile dla ikonograficznej wymowy.

Cała sztuka frankokantabryjska jest bez mała sztuką nieanegdotyczną. Aby skomponować scenę polowania, konieczne jest wyobrażenie człowieka. Znamy wprawdzie ryty twarzy i figurki ludzkie, ale w malarstwie paleolitycznym człowiek jest właściwie nieobecny.

L'abbé Breuil widzi w scenie z szybu rodzaj tablicy upamiętniającej śmiertelny wypadek w czasie polowania. Bizon zabił człowieka, ale śmiertelna rana tego zwierzęcia jest być może dziełem nosorożca, który przyłączył się do pojedynku. Dzida rzucona w grzbiet bizona — suponuje dalej uczony — nie mogła spowodować tak szerokiego rozdarcia jamy brzusznej. Przyczyną tego stał się może prosty przyrząd do miotania kamieni, którego niewyraźny zarys widoczny jest pod nogami zwierza. Wreszcie ów ptak, malowany schematycznie, bez nóg prawie i bez dzioba, jest dla Breuila rodzajem słupa cmentarnego, używanego dzisiaj jeszcze przez Eskimosów z Alaski.

Nie jest to jedyna egzegeza, a że prehistorykom wydawała się zbyt prosta, puścili wodze fantazji. Jedno wyjaśnienie wydaje się interesujące i godne streszczenia.

Autorem tej interpretacji jest niemiecki antropolog Kirchner, który wysunął śmiałą hipotezę, że cała scena nie ma bynajmniej związku z polowaniem. Leżący człowiek nie jest ofiarą zwierzęcych rogów, ale szamanem w ekstatycznym transie. Wyjaśnienie Breuila pomijało trudną do wytłumaczenia obecność ptaka, a także ptasi kształt głowy leżącego człowieka. Na te szczegóły położył główny nacisk w swej interpretacji Kirchner. Opiera się on na analogii między cywilizacją myśliwskich szczepów Syberii a cywilizacją paleolityczną i przytacza ceremonię ofiary krowy, opisaną w dziele Sieroszewskiego o Jakutach. Otóż istotnie, w tej scenie ofiarnej, jak wynika z zamieszczonych w książce ilustracji, ustawiono trzy słupy zakończone rzeźbionymi ptakami, przypominającymi ptaka z Lascaux. Z opisu wiemy, że tego rodzaju ofiary odbywały się u Jakutów z reguły w obecności szamana, który wpadał w ekstazę. Należy teraz wyjaśnić, jakie znaczenie w tym rytuale miał ptak.

Zadaniem szamana było odprowadzenie duszy ofiarnego zwierzęcia do nieba. Po ekstatycznym tańcu padał jak martwy na ziemię, musiał tedy posłużyć się duchem pomocniczym, właśnie ptakiem, w którego naturze zresztą uczestniczył, podkreślając to strojem z piór i ptasią maską.

Hipoteza Kirchnera jest bardzo frapująca, ale nie objaśnia znaczenia nosorożca, niewątpliwie należącego do całości sceny, który oddala się spokojnie, jakby dumny z dokonanej zbrodni.

Z jednego jeszcze powodu scena w szybie jest szczególnie ważna i wyjątkowa. Stanowi ona jedno z pierwszych wyobrażeń człowieka w sztuce paleolitycznej. Cóż za uderzająca różnica w traktowaniu ciała zwierzęcego i ciała człowieka. Bizon jest sugestywny i konkretny. Wyczuwa się nie tylko masę jego ciała, ale i patos agonii. Figurka człowieka — wydłużony prostokątny korpus, patyki kończyn — są już szczytem uproszczenia, zaledwie rozpoznawalnym znakiem człowieka. Tak jakby malarz oryniacki wstydził się swego ciała, tęskniąc za rodziną zwierząt, którą opuścił. Lascaux jest apoteozą tych istot, którym ewolucja nie kazała zmienić form, pozostawiając je w niezmienionym kształcie.

Człowiek zburzył porządek natury myśleniem i pracą. Starał się stworzyć nowy ład, narzucając sobie szereg zakazów. Wstydził się swojej twarzy, widomego znaku różnicy. Przywdziewał chętnie maskę, i to maskę zwierzęcą — jakby chcąc przebłagać za zdradę. Jeśli chciał wyglądać pięknie i potężnie — przebierał się, przemieniał w zwierzę. Wracał do początku, zanurzał się z lubością w ciepłym łonie natury.

Wyobrażenia człowieka z epoki oryniackiej mają postać hybryd z głowami ptaków, małp i jeleni, jak na przykład postać ludzka z grotu Trois Frères, odziana w skórę i rogi. Ma wielkie, fascynujące oczy, dlatego prehistorycy nazywają ją bogiem jaskini lub czarownikiem. W tej samej grocie jeden z najpiękniejszych rytów przedstawia feeryczną scenę zwierzęcego karnawału. Tłum koni, kozłów, bizonów i tańczący człowiek z głową żubra, grający na instrumencie muzycznym.

Ideał imitacji absolutnej zwierząt, niezbędny dla celów magicznych, był prawdopodobnie przyczyną, dla której zaczęto używać farby. Paleta kolorystyczna jest prosta i da się sprowadzić do czerwieni i jej pochodnych oraz czerni i bieli. Wydaje się, że człowiek prehistoryczny nie był wrażliwy na inne kolory, podobnie jak dzisiaj mieszkańcy plemion Bantu. Zresztą stare księgi ludzkości — Wedy, Awesta, Stary Testament, poematy homeryckie — pozostają wierne temu ograniczonemu kolorystycznemu widzeniu.

Szczególnie poszukiwana była ochra. W grotach Roche i Les Eyzies znaleziono prehistoryczne magazyny tego barwnika. W piaskach trzeciorzędu koło Nontron odkryto ślady jego eksploatacji, i to na dużą skalę.

Barwniki były zatem mineralne. Podstawę czerni stanowił mangan, a czerwieni tlenki żelaza. Kawałki minerałów ucierano na proch na kamiennych płytach lub kościach zwierząt, jak na przykład łopatki żubra, o czym świadczy znalezisko w Pair-non-Pair. Taki kolorowy puder przechowywano w wydrążonych kościach lub małych woreczkach przytroczonych do pasa, jakie w ubiegłym wieku nosili ostatni artyści buszmeńscy, wytypowani przez Boerów.

Sproszkowany barwnik mieszano z tłuszczem zwierzęcym, szpikiem lub wodą. Kontury obrysowywano często kamiennym rylcem, malowano natomiast palcem, pędzlem z włosów zwierzęcych lub pękiem suchych gałązek. Używano także rurki do wydmuchiwania sproszkowanej farby, o czym świadczą malowidła Lascaux — wielkie powierzchnie nierówno założone kolorem. Proceder ten dawał efekt miękkich konturów, ziarnistej powierzchni i organicznej faktury.

Zdumiewająca zdolność posługiwania się wszystkimi technikami malarskimi i rysunkowymi w epoce oryniackiej, solutrejskiej i magdaleńskiej naprowadziła prehistoryków na domysł, że w owych, oddalonych od nas o dziesiątki tysięcy lat czasach, istniały szkoły artystyczne. Potwierdzać to zdaje się rozwój sztuki paleolitycznej od prostych sylwetek rąk w grotach Castillo aż do arcydzieł Altamiry i Lascaux.

Problem rozwoju sztuki paleolitycznej nie jest łatwy do rozwiązania, a zatem datowanie rytów i dzieł malarskich tego okresu jest rzeczą trudną. Bardziej pewną podstawą periodyzacji jest rozwój narzędzi. W tej rozrzedzonej sferze historii człowieka — rozrzedzonej oczywiście dla nas, a to głównie z powodu braku pisma i niezbyt wielkiej liczby zabytków w stosunku do ogromu czasu — zegary nie wybijają ani godzin, ani wieków, ale dziesiątki tysięcy lat.

Młodszy paleolit, czyli epoka reniferów i człowieka rozumnego, liczy od piętnastu do dwudziestu pięciu tysięcy lat i kończy się około piętnastego tysiąclecia przed naszą erą. Dzieli się na okres oryniacki, solutrejski i magdaleński. Warunki naturalne w owym czasie utrwaliły się, co stworzyło podstawy cywilizacji frankokantabryjskiej. Pierzchnęło widmo lodowych katastrof — białych, idących z północy mas zimna, bardziej niszczycielskich niż lawy wulkanów. Klęską jednak tej cywilizacji stało się ocieplenie klimatu. Pod

koniec epoki magdaleńskiej renifery odeszły na północ. Człowiek został sam, opuszczony przez bogów i zwierzęta.

Jakie jest miejsce Lascaux w prehistorii? Wiemy, że grotę nie była ozdobiona za jednym zamachem i zawiera malowidła często nakładane na siebie, pochodzące z różnych tysiącleci. Opierając się na analizie stylu, Breuil opowiada się za oryniackim pochodzeniem głównych malowideł. Charakterystyczną cechą oryniaku miał być pewien rodzaj perspektywy. Nie jest to oczywiście perspektywa zbieżna, której użycie wymaga znajomości geometrii, ale perspektywa, którą można nazwać skreconą. Zwierzęta malowane są w zasadzie z profilu, jednak poszczególne ich fragmenty, jak głowa, uszy czy nogi, zwrócone są w kierunku widza. Rogi bizona w scenie z szybu mają kształt pochylonej liry [Jest jeszcze inna metoda datowania znalezisk archeologicznych. Oparta nie na analizie stylu, ale na mierzeniu zawartego w resztkach roślin i zwierząt izotopu C14. Analiza węgla znalezionej w grocie Lascaux pozwoliła ustalić datę powstania malowideł ściennych na trzynaście tysięcy lat przed naszą erą. Archeolodzy wszelako przesuwają tę datę o kilka tysiącleci wstecz.]

Historia odkrycia. Jest wrzesień 1940 roku. Francja padła. Bitwa powietrzna nad Wielką Brytanią dochodzi do szczytu. Na dalekim marginesie tych wydarzeń, w lesie w pobliżu Montignac, toczy się akcja jak z powieści dla młodzieży, która przynieść miała światu jedno z najwspanialszych odkryć prehistorii.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy burza obaliła drzewo, odsłaniając otwór, który pobudził młodzieńczą wyobraźnię osiemnastoletniego Marcela Ravidata i jego towarzyszy zabaw. Chłopcy sądzili, że jest to wejście do podziemnego korytarza prowadzącego do ruin pobliskiego zamku. Dziennikarze wymyślili historijkę o psie, który wpadł w ten otwór i stał się faktycznym odkrywcą Lascaux. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa Ravidat miał pasję eksploratora, chociaż nie zależało mu na sławie, ale na odkryciu skarbu.

Otwór miał około 80 cm średnicy i taką samą, jak się wydawało, głębokość. Ale kamień rzucony w dół spadał jakoś podejrzanie długo. Chłopcy poszerzyli wejście. Pierwszy Ravidat znalazł się w grocie. Przy niesiono lampę — i malowidła, od dwudziestu tysięcy lat zamknięte w podziemiu, odsłoniły się ludzkim oczom. „Nasza radość była nieopisana. Odańczyliśmy dziki taniec wojenny”.

Na szczęście młodzi ludzie nie rozpoczęli eksploatacji odkrytego skarbu na własną rękę, ale zawiadomili nauczyciela, pana Lavalę, ten z kolei Breuila, który mieszkał wówczas w pobliżu i zjawił się w Lascaux dziewięć dni po odkryciu. Świat naukowy dowiedział się o znalezisku dopiero pięć lat później, to znaczy po zakończeniu wojny.

Chłopcy z Lascaux zasłużyli sobie, jeśli nie na pomnik, to przynajmniej na tablicę pamiątkową nie mniejszą niż ta, która czci zasługi pani Marii Martel, akuszerki — oficera Akademii. Ich rodzinne miasteczko Montignac stało się sławne. Za sławą przyszły realne korzyści. Otrzymało lepsze połączenia autobusowe, rozmnożyły się różnego rodzaju lokale: „Pod Bykiem”, „Bizonem” i „Czwartorzędem”, a co najmniej kilkadziesiąt rodzin żyje ze sprzedaży pamiątek. Może Ravidat sam założy restaurację i na stare lata przy kominku będzie opowiadał turystom o swoim odkryciu lub skończy archeologię. Jest jednak rzeczą wątpliwą, czy drugi raz uda mu się taka sztuka. Prawdę mówiąc, nic o nim nie wiadomo.

Kilkaset metrów od groty Lascaux powstał rodzaj prywatnego przedsiębiorstwa z branży prehistorycznej. Właściciele pastwiska odkryli coś, co może być wejściem do nowej grotty, i znaleźli parę nierewelacyjnych zresztą skamielin. Wybudowali szopę, w której umieścili te „eksponaty”, i żeby nadać pozór naukowości swemu „muzeum”, powiesili na ścianach kilka wykresów, z których dowiedzieć się można, że były cztery epoki lodowe: Günz, Mindel, Riss i Würm. Po zainkasowaniu jednego franka bliższych wyjaśnień na temat paleologii udziela chytry wieśniak pachnący owczym serem.

Ponieważ żyjemy w epoce podejrzeń, autentyczność malowanych jaskiń została podana w wątpliwość. Zaczęło się to zresztą jeszcze w roku 1879 po odkryciu Altamiry przez Marcelina de Sautuolę.

Posądzano mianowicie ojców jezuitów o to, że w tajemnicy ozdabiali jaskinie, podsuwali je niejako pod nos naukowcom i czekali, aż wokół nich rozpęta się dyskusja. Po czym mieli ujawnić fałszerstwo, by

skompromitować prehistoryków, których nauka rozszerzała granice dziejów ludzkości poza chronologię biblijną, dodajmy — naiwnie pojętą. O autentyczności Altamiry wypowiedzieli się uczeni dopiero po dwudziestu latach od daty odkrycia.

Zresztą ich sceptycyzm jest w pełni uzasadniony. Wystarczy przypomnieć słynną historię czaszki z Piltdown, na temat której najpoważniejsi archeolodzy i antropolodzy napisali w ciągu dwudziestu czterech lat wiele uczonych rozpraw, zanim nie okazała się fałszerstwem. Fałszerstwem zresztą, jak się wyrażono, genialnym w swoim rodzaju, gdyż preparowana była bardzo długo przez kogoś, kto miał dostęp do kolekcji i znał metody badań laboratoryjnych.

Zabiegi, jakim można poddać kawałek kości, aby uczynić ją „paleolityczną”, są zresztą znacznie łatwiejsze do wykonania niż malowanie ogromnych powierzchni groty. To ostatnie wymaga całego zespołu ludzi obdarzonych nie tylko wiedzą, ale także niemałym talentem artystycznym. A poza tym koszt takich fałszerstw w stosunku do zysku byłby nieproporcjonalny.

W umysłach niefachowców podejrzenie wzbudza najczęściej fakt, że niektóre reprodukcje, i to publikowane zaraz po odkryciu, nie zgadzają się w szczegółach z tym, co można sprawdzić naocznie. Istnieje więc przypuszczenie, że prehistorycy, dobrawszy się do znalezisk, dokonują niektóre, ich zdaniem niezbędne, szczegóły. W scenie z szybu, reprodukowanej w prasie popularnej, leżący na ziemi nagi człowiek nie ma fallusa. Ten fragment został po prostu zatarty przez redaktorów dbających o dobro moralne czytelników. Jeśli dodamy, że wiele posążków i rytów paleolitycznych wiąże się z magią płodności i charakteryzuje się podkreśleniem oraz wyolbrzymieniem organów płciowych, sprawa stanie się jasna.

Zwiedzając groty w Lascaux, uległem przez chwilę sceptycyzmowi na widok świeżości kolorów i doskonałego stanu zabytku liczącego przecież ponad piętnaście tysięcy lat. Wytłumaczenie tego zdumiewającego faktu jest proste. Przez tysiąclecia groty były zasypane, a więc znajdowały się w stałych warunkach atmosferycznych. Dzięki wilgoci na powierzchni wytworzyły się szkliste sole wapnia, konserwujące malowidła niczym werniks.

W lecie 1952 roku znakomity poeta André Breton, zwiedzając jaskinie w Pech-Merle, postanowił metodą eksperymentalną rozstrzygnąć kwestię autentyczności dzieł prehistorycznych. Mówiąc po prostu, potarł malowidła palcem i zobaczywszy, że palec został zafarbowany, doszedł do przekonania, że jest to fałszerstwo, i to świeżej daty. Przykładnie został ukarany grzywną (za dotykanie, nie za przekonania), ale sprawa na tym się nie skończyła. Francuski Związek Literatów zażądał przeprowadzenia dochodzeń w sprawie autentyczności malowanych jaskiń. Ksiądz Breuil w raporcie złożonym Najwyższej Komisji Zabytków Historycznych uznał te demarsze za nie do przyjęcia.

I tak metoda pocierania palcem nie weszła do arsenału naukowo uprawnionych metod w dziedzinie badań nad sztuką prehistoryczną.

* * *

Wracalem z Lascaux tą samą drogą, jaką przybyłem. Mimo że spojrzałem, jak to się mówi, w przepaść historii, nie miałem wcale uczucia, że wracam z innego świata. Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności: jestem obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności.

To jest właśnie ludzka duma i wyznanie rzucone obszarom nieba, przestrzeni i czasu: „Biedne ciała, które mijacie bez śladu, niech ludzkość będzie dla was nicością; słabe ręce wydobywają z ziemi noszącej ślady oryniackiej półbestii i ślady zagłady królestw — obrazy, które, budząc obojętność czy zrozumienie, jednakowo świadczą o waszej godności. Żadna wielkość nie da się oddzielić od tego, co ją podtrzymuje. Reszta to uległe stwory i bezrozumne owady”.

Droga była otwarta ku świątyniom greckim i gotyckim witrażom. Szedłem ku nim, czując w dłoni ciepły dotyk malarza z Lascaux.



KOMENTARZ

Jeszcze nie tak dawno nieznajomość *Barbarzyńcy w ogrodzie* Zbigniewa Herberta graniczyła z brakiem świadectwa przynależności do kultury. Nie chodziło oczywiście o szkolny obowiązek ani egzaminacyjną wiedzę, ale o coś znacznie ważniejszego — o znak uczestnictwa w świecie wartości, sztuki i historii. Eseje Herberta czytano, cytowano i polecano sobie nawzajem, ponieważ uczyły patrzeć na kulturę europejską jak na wielką wspólnotę pamięci.

Dziś coraz częściej spotykamy się z nową formą barbarzyństwa. Nie polega ono na niszczeniu dzieł sztuki ani na odrzuceniu kultury wprost. Jest znacznie cichsze i bardziej niepozorne. Polega na nieczytaniu. Na obojętności wobec tekstów, które przez dziesięciolecia kształtowały wyobraźnię kolejnych pokoleń. Paradoksalnie więc współczesnym barbarzyńcą staje się nie ten, kto atakuje kulturę, lecz ten, kto nie znajduje dla niej czasu.

Dlatego warto przypomnieć esej Herberta o Lascaux. Umieszczamy go na końcu numeru, choć właściwie powinien znaleźć się na początku. Opowiada bowiem o początku naszej kultury, o jednym z najstarszych śladów ludzkiej wyobraźni i ludzkiego ducha. Herbert schodzi do jaskini nie tylko po to, aby podziwiać prehistoryczne malowidła. Stawia pytania znacznie głębsze. Pyta o źródła człowieczeństwa, o narodziny sztuki, ale także o narodziny zła.

W jego opowieści pierwszy człowiek nie jest niewinnym mieszkańcem utraconego raju. To istota zdolna do przemocy. Herbert przypomina, że *Homo sapiens* najprawdopodobniej wyparł i zniszczył człowieka neandertalskiego. Historia ludzkości — jak pisze — rozpoczęła się pod gwiazdą Kaina. U źródeł naszej cywilizacji stoi więc ktoś, kto potrafił zabijać, walczyć o przetrwanie i podporządkowywać sobie świat.

A jednak ten sam człowiek stworzył malowidła z Lascaux. Pozostawił po sobie dzieła pełne piękna, wrażliwości i zachwyty nad światem zwierząt. W tym właśnie tkwi wielka tajemnica, którą Herbert próbuje uchwycić. Pierwszy artysta był zarazem barbarzyńcą. Twórca i niszczyciel, myśliwy i malarz, człowiek przemocy i człowiek zachwyty okazują się jedną i tą samą osobą.

Esej o Lascaux jest więc nie tylko opowieścią o odległej przeszłości. To także refleksja nad nami samymi. Herbert przypomina, że kultura nie wyrasta z doskonałości, lecz z ludzkiej sprzeczności. U jej początków nie stoi anioł, ale człowiek — istota zdolna zarówno do okrucieństwa, jak i do tworzenia piękna. Być może właśnie dlatego malowidła z Lascaux nadal poruszają. Patrzymy na nie i rozpoznajemy w ich twórcach samych siebie.

[kch]

LOGOS POLECA NA WAKACJE

Twórczość Zbigniewa Herberta kojarzona jest przede wszystkim z poezją, jednak autor *Pana Cogito* pozostawił po sobie również znakomite eseje. Jednym z najciekawszych przykładów tego rodzaju pisarstwa jest *Martwa natura z wędzidłem* – książka będąca owocem fascynacji kulturą i sztuką siedemnastowiecznej Holandii.

Herbert nie pisze klasycznej historii sztuki. Wędrując śladami dawnych malarzy, kupców, filozofów i kolekcjonerów, tworzy opowieść o świecie, który osiągnął niezwykły poziom dobrobytu, a zarazem zachował szacunek dla pracy, porządku i codzienności. Autor z charakterystyczną dla siebie erudycją i wrażliwością analizuje obrazy, przedmioty oraz losy ludzi, odkrywając ukryte znaczenia pozornie zwyczajnych rzeczy.

Martwa natura z wędzidłem jest książką o sztuce, ale także o człowieku. Pokazuje, że obrazy mogą być nie tylko świadectwem talentu artysty, lecz również zapisem wartości, przekonań i doświadczeń całych społeczeństw. To lektura wymagająca uważności, ale nagradzająca czytelnika możliwością spojrzenia na kulturę europejską z perspektywy jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy XX wieku.



Labirynt nad morzem to jedna z najbardziej znanych książek esejistycznych Zbigniewa Herberta. Autor zabiera czytelnika w podróż do świata starożytnej Grecji – cywilizacji, która stała się jednym z fundamentów kultury europejskiej. Nie jest to jednak podręcznik historii ani przewodnik turystyczny. Herbert tworzy osobistą opowieść o spotkaniu z miejscami, mitami i dziełami sztuki, które od wieków kształtują wyobraźnię kolejnych pokoleń.

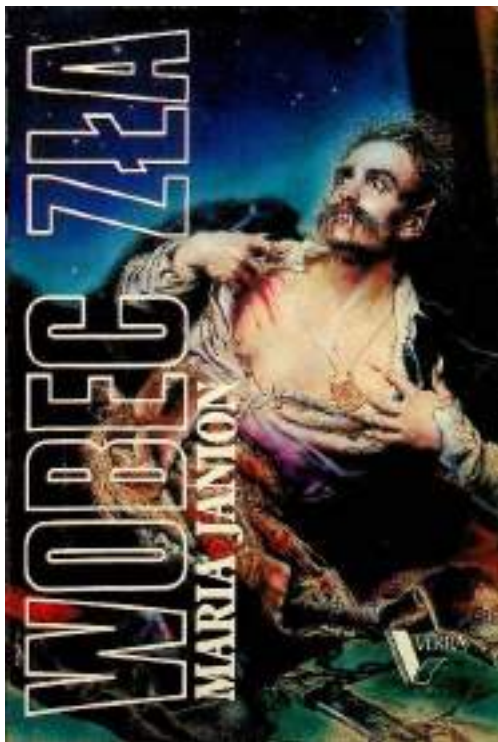
Pisarz odwiedza greckie miasta, świątynie i stanowiska archeologiczne, a jednocześnie przywołuje bohaterów mitów, filozofów, artystów i władców. W charakterystyczny dla siebie sposób łączy wiedzę historyczną z refleksją nad losem człowieka, znaczeniem piękna oraz trwałością kultury. Dzięki temu starożytna Grecja nie jawi się jako odległa przeszłość, lecz jako żywe źródło pytań, które pozostają aktualne także współcześnie.

Labirynt nad morzem jest książką o podróżowaniu, odkrywaniu i dialogu z tradycją. Herbert pokazuje, że poznawanie przeszłości nie polega jedynie na gromadzeniu faktów, ale przede wszystkim na próbie zrozumienia ludzi, którzy żyli przed nami. To lektura dla wszystkich, którzy chcą spojrzeć na antyk nie jak na zamknięty rozdział historii, lecz jak na wciąż obecny element naszej kultury i tożsamości.

[kch]

NA ZAKOŃCZENIE NUMERU

Wobec zła



Tytuł tego numeru **Logosu** zapożyczyliśmy od Marii Janion i jej wybitnej książki *Wobec zła*. Nie oznacza to jednak, że zgromadzone tu teksty prowadzą bezpośredni dialog z tą publikacją. Potraktowaliśmy go raczej jako inspirację i punkt wyjścia do szerszej refleksji nad jednym z najtrudniejszych problemów ludzkiego doświadczenia.

Książka Marii Janion to dzieło wyjątkowe. Autorki nie interesuje klasyczny traktat filozoficzny, lecz sposób, w jaki zło odbija się w kulturze i wyobraźni. Szczegółnie miejsce zajmuje tu polski romantyzm – szkoła skrajnych emocji, wielkich namiętności i niebezpiecznych fascynacji. W interpretacji Janion polska kultura nosi ślady romantycznego szaleństwa: gotowości do przekraczania granic rozsądku w imię idei. Jej bohaterowie balansują na granicy między heroizmem a obłędem, poświęceniem a autodestrukcją.

Co ciekawe, to zmaganie z fatum historii mocno rezonuje z polską tradycją malarską. Na wielkich płótnach Jana Matejki dostrzegamy ten sam tragiczny nerw, który badała Janion. Matejko operował rdzennie romantycznym rozumieniem dramatu narodowego. Na jego obrazach zło dziejowe, zdrada czy katastrofa materializują się w gwałtownych gestach i pełnych cierpienia twarzach. Postacie takie jak Reytan w geście rozpacz czy profetyczny Wernyhora balansują dokładnie na opisywanej przez Janion granicy między natchnieniem a obłędem. Historia jawi się u obojga jako demoniczna siła, wobec której człowiek musi zająć postawę moralną.

Tytuł numeru zawdzięczamy Janion świadomie i z szacunkiem. Choć w **Logosie** obraliśmy własne ścieżki interpretacji, warto wskazać źródło inspiracji. Samą książkę *Wobec zła* gorąco polecamy jako lekturę uzupełniającą – zmusza do głębokiego namysłu nad człowiekiem, historią i kulturą.



JAN MATEJKO

Rejtan – Upadek
Polski

obraz Jana
Matejki z 1866

przedstawia
protest Tadeusza
Reytana przeciwko I
rozbiorowi
Polski na Sejmie
Rozbiorowym.